



Rok XVI
31 (820)
CENA 1.50Zł

5.8.73.



Czytaj na str. 5

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY



Warszawa-1944

CZAS PRZESZŁY – TERAŹNIEJSZY

Jest to wielka, płaska przestrzeń, otoczona laskiem nierzeczywiście białych brzołek. Z rzadka rósł tu nieduże, srebrne świerki. Naprzeciw bramy wejściowej, w głębi, przed memorialną ścianą, która zamyka główną aleję – pomnik kobiety, trzymającej w otwartych, półuniesionych dłoniach wieniec ze spiżowych liści. Całą tę przestrzeń wypełniają niewysoko nad ziemią unoszące się kopce. Mają one kilkanaście metrów długości, kilkadziesiąt szerokości. Są to zbiorowe groby, „braterskie mogiły”. Na ich skośnych ściankach, tych krótszych, zwróconych ku alejkom widnieją niewielkie granitowe tablice – wszystkie jednakowe: gwiazda, gałązka laurowa i data: 1942, 1943, 1944 rok.

TU, GDZIE NIE PRZYCHODZI WIOSNA

MAREK WAWRZKIEWICZ

Jest to Cmentarz Piskorowski w Leningradzie. Cmentarz, na którym pod warstwą ziemi leżą ludzie tylko bezimienni. W niewielkim pawiloniku, usytuowanym przed wejściem na cmentarz można przejrzeć księgę, w której w tamtych czasach zapisywano liczbę ludzkich zwłok przywożonych tu każdego dnia.

Na kartach tej książki również nie znajdzie się nazwisk, po prostu: data i cyfra:

14 lutego 1942 roku	5.334
15 lutego 1942 roku	8.452
20 lutego 1942 roku	10.043

Na Cmentarzu Piskorowskim spoczywają szczątki 460 tysięcy leningradczyków zmar-

łych z głodu i mrozu. Prawie pół miliona ludzi bezimiennych. Ogółem liczbę zmarłych i zabitych w czasie 900 dni blokady ocenia się na milion dwieście tysięcy. Nie policzono tych, którzy śmiercią żołnierską zginęli walcząc na 2-

Dalszy ciąg na str. 4

W numerze:

▲ Laureaci nagród Ministra Kultury i Sztuki.

▲ Ryszard Binkowski zwierza się, jak nie złowić rybki w gliniance.

▲ Maria Hoffman pisze o „Halce” nad Adriatykiem.

▲ Tadeusz Papier prezentuje rodowód Srebelka.

▲ Bogda Madej zgłasza urlopowe propozycje dla kibiców.

▲ Magazyn Wakacyjny Nr 4

Lądujemy w porcie morskim Tilbury, około czterdziestu kilometrów od Londynu. Jestem niespokojny. W kieszeni mam „aż” pięćdziesiąt funtów angielskich, a w torbie podróжной — jak niemal każdy wybierający się na Zachód Polak — butelkę spirytusu, ser „Salami” i dwa kilogramy suchej kiełbasy!

Jestem niespokojny, bo zamierzam spędzić w Londynie co najmniej 10 dni — poznać specyfikę miasta, zwiedzić muzea i galerie, gabinet figur woskowych, zajrzeć do Soho — znanej dzielnicy „rozrywek rozpustnych” i przyjrzeć się londyńskim hippisom, a może nawet popalić z nimi marihuana — ot, żeby wiedzieć „co to jest”, obejrzeć musical „Jezus Christ Superstar” na przykład, albo „Hair”, no i ów osławiony film „Ostatnie tango w Paryżu...”

BOGDAN ŚWIECIMSKI

PODRÓŻ ZA 100 DOLARÓW

Wczoraj o tej porze byłem w Rotterdamie — teraz jestem w poczekalni portu morskiego Tilbury — około czterdziestu kilometrów od Londynu. Stoje nieopodal automatów telefonicznych. Wszystkie zajęte.

Wreszcie ja. Dzwonię do K., który uprzedzony listownie o moim przyjeździe, miał się rozejrzeć za jakimś tanim pokoikiem. Nie ma go jednak. Właścicielka domu, w którym mieszkał, Polka na szczęście, powiedziała, że K. jest w biurze i podała mi jego numer. Ale numer zajęty.

Denerwuje się. Czy K. załatwił pokój? I jak mnie przyjmie? Znałem go z kraju jako otwartego i uczynnego człowieka. Tylko, że to

było w kraju. Za granicą rodacy zmieniają się.

Podróż do Londynu mam załatwioną. Pojadę samochodem krewnych pani, z którą przy jednym stole jadłem posiłki na statku. Sama mi to zaproponowała.

Wychodzę z kabiny telefonicznej. Dowiedziałem się, że gospodyni pana K. zawiadomiła go o moim przyjeździe.

Krewni pani od wspólnego stolika chcą obejrzeć statek. Idę do samochodu. W tym samym kierunku co ja zdążyła pseudo Mieczysław Fogg, z którym dzieliłem na statku jedną kajutę. Nienagannie ubrany, zawsze w muszce wzbudzał zainteresowanie wszystkich pań w średnim i starszym wieku. Nie chciały słyszeć, że to

on — tak był podobny do Mieczysława Fogga. Garnęły się do niego i były zachwycone, gdy zaszczycał je swoim towarzystwem. Stary, co prawda, pod sześćdziesiątkę, trzymał się dzielnie. Podobno do „tych rzeczy” — jak mawiał — był jeszcze zdolny. Kilka razy opuszczałem kajutę, bo akurat oczekiwał wizyty jakiejś pani.

Szarmancki pan, w muszce, ma dwie duże walizy. W jednej wiezie kilka kilogramów tatrzańskiej kiełbasy, którą w kajucie rozwieszał nad moim łóżkiem, razem ze skarpetkami, nie pytając mnie wcale o pozwolenie. Ja swoją trzymałem pod łóżkiem.

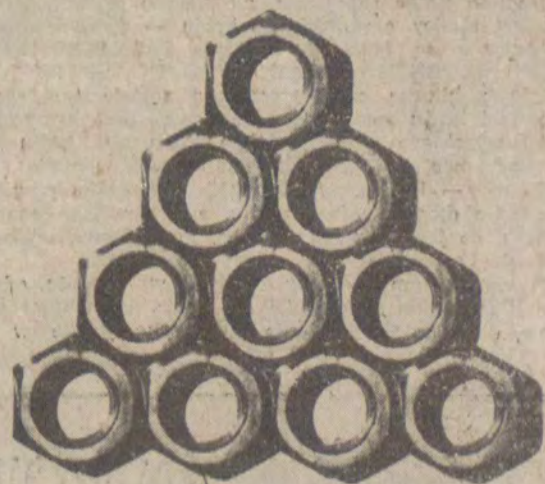
Bagażę wkładamy do samochodu i na statek. Pan w

muszce zostaje w samochodzie. Dziwi go, że zamiast jechać do Londynu, tracimy czas na zwiedzanie „Batorego”. Ja uważam, że trzeba rodakom z Londynu pokazać nasz transatlantyk.

Wracamy do samochodu Ruszamy. Po przejechaniu kilku kilometrów pan w muszce wszczyna alarm. Nie jesteśmy przez śródmieście Londynu, okrążamy go. Żeby dostać się na drugą stronę miasta — w tej chwili jesteśmy po lewej stronie — trzeba stracić na to około trzech godzin. A krewni pani od wspólnego stolika nie mają czasu. Szarmancki pan, w muszce, jest wściekły. — Trzeba było od razu tak po-

Dalszy ciąg na str. 6

dobra organizacja — lepsze efekty pracy



P. Brandyk i P. Bojanowski

Warszawa-1944

1 sierpnia 1944 roku o godzinie 17 wybuchło w Warszawie powstanie. Nadeszła chwila, na którą długo czekał lud stolicy. Nadszedł moment porachunku ze zniechęconym hitlerowskim okupantem. Za broń chwycili młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni. Za broń, której było tak niewiele, a która była tak potrzebna.

I choć powstanie było wypadkową kalkulacji politycznych, choć było czynnikiem w rozgrywce o władzę w Polsce, wywołanej przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie, to stało się dla warszawiaków powszechnie. Do walki stanęli wszyscy, niezależnie od różnicy poglądów przynależności organizacyjnej. Walczyli, aby przyspieszyć upragnione od lat zwycięstwo. Walczyli, aby ginać.

Była to walka okrutna i dramatyczna. Przeciw bohaterom powstania, przeciw ich pistoletom maszynowym, karabinom, granatom i butelkom zapalającymi, hitlerowcy zgromadzili całą potęgę swojej broni. Od czołgów, po samoloty i wyrzutnie rakiet. Rzucili przeciw bohaterom ludowi Warszawy najokrutniejsze oddziały SS. A lud Warszawy walczył z tą przeważającą siłą wroga. Walczył i ustępował przed nawałą hitlerowską, znacząc szlak swego odwrotu ofiarami poległych powstańców i rozstrzelanych cywilów. Aby potem pójść do niewoli, do obozów, na poniewierkę.

Warszawa miała być zrównana z ziemią. Ślad po niej miał nie zostać. Warszawa stoi i stać będzie. Staje się pięknym, nowoczesnym miastem. Miastem, gdzie na ulicach i skwerach płoną znicze. Tak lud Warszawy czepli pamięć tych, którzy za jej wolność i przyszłość oddali swoje życie.

ANDRZEJ GRUN Rozstrzelanym

Ulicami sen swój snują
W bramę wsiąkną
W mur wrastają
Plamą brudną
Plamą rdzawą
Kiedy trzeba — plamą krwawą
W mur wrastają

W murze płyta marmurowa
Na marmurze słowa... słowa...
Znicz zapala obca ręka
Wiążkę głogu
Kwiat czerwony pełnej róży
Kłó tam rzuci
Na chodniku tuż przy murze

Gdy noc lamie
Ważelnicę klingę znicza
Z muru wyjdą —
Krok za krokiem po ulicach
Dłonią dotkną odłupanej kulą
Kropki krwi lub łzę podniosą
Niczym perle...

A przed światem
W mur wrastają
Plamą brudną
Plamą rdzawą
Plamą krwawą
Kiedy trzeba — plamą
W mur...

„MY, WLADYSLAW, z łaski Boga król polski, czynimy wiadomym aktem niniejszym, że składając się do usilnych prośb wielebnego w Chrystusie ojca, pana Jana, z łaski Boga biskupa wrocławskiego nam szczerze milego: jemu wieś jego, zwaną **ŁÓDŹ**, przekształcamy, nadając jej prawo miejskie”...

Tak zaczyna się akt lokacyjny, który wieś zwaną Łódź przeniósł na prawo miejskie, zwane magdeburskim i uczynił ją miastem. Akt ten kończy się słowami:

„Działo się w Przedborzu w sam dzień świętej Marty. Roku Pańskiego tysiąc czterysta dwudziestego trzeciego.”

I tak zaczęło się ostatnie 550-lecie Łodzi. Historycy wprawdzie twierdzą, że jej dzieje są znacznie starsze, ale wybraliśmy ten właśnie moment, uhonorowany królewskim aktem, dla uczczenia naszej miejskiej przeszłości. Moment to znakomity, bo po 400 latach nijakiego bytowania Łódź dla Królestwa Polskiego odkrył Stanisław Staszic, a po dalszych 150 latach jej przemysłowego i burzliwego rozwoju powstał nowy program unowocześnienia i rozbudowy miasta. Dziś po roku realizacji tego programu czcimy naszą przeszłość, zwracając oczy w przyszłość. Marzy nam się Łódź nowa, piękna, bujnie rozkwitająca i ze wszech miar nowoczesna. Marzenie to ma jak najbardziej realne i materialne podstawy.

Jubileusz miasta wyzwolił wiele inicjatyw, które pozwoliły na wydobycie z przeszłości sporo interesujących i wartościowych momentów. Wytwórnia Filmów Oświatowych przygotowała na ten moment film krótkometrażowy „Łódź 550” jest już na ekranach. A twórcy tego filmu mieli nie lada zadanie — zmieścić 550-letnią historię w niecałych 20 minutach projekcji.

Filmów o Łodzi powstało już wiele. „Łódź 550” jest filmową monografią miasta. Obok współczesnego obrazu Łodzi pojawiają się na ekranie zdjęcia dokumentów, rysunków, portretów. Synteza naszej przeszłości. Rodowód naszej teraźniejszości. Film na pewno potrzebny, ale chyba nie jedyny. Stanowi on początek filmowej twórczości o sprawach miasta. Nie przypadkiem „Głos Robotniczy” rozpoczął dyskusję na temat przyszłego wybitnego filmu o Łodzi. Na taki film wciąż czekamy.

Obchody 550-lecia Łodzi i 150-lecia Łodzi przemysłowej spowodowały szeroką penetrację materiałów źródłowych Miejski Urząd Statystyczny wydał piękny i interesujący „Album statystyczno-gospodarczy”.

„Intencją autorów Albumu — pisze we wstępie Jerzy Lorens, przewodniczący Prezydium RN m. Łodzi — było przedstawienie w popularnej formie graficzno-opisowej rozwoju i przemian społeczno-gospodarczych miasta, głównie w okresie powojennym, a o ile pozwalały na to materiały — również i historii powstawania Łodzi.”

I w samej rzeczy okres powojenny przedstawiono bogato i interesująco. Z historią jest nieco gorzej, a to głównie dlatego, że zabrakło materiałów. Tymczasem najciekawsze są porównania. Dają one obraz tego, co zrobiliśmy, jak daleko odeszliśmy od punktu startu, który — jak wiadomo — w porównaniu do innych miast nie był wcale taki zły. Dają one obraz tego, co zrobiliśmy, jak daleko odeszliśmy od punktu startu, który — jak wiadomo — w porównaniu do innych miast nie był wcale taki zły. Dają one obraz tego, co zrobiliśmy, jak daleko odeszliśmy od punktu startu, który — jak wiadomo — w porównaniu do innych miast nie był wcale taki zły.

Album wydano w niewielkim nakładzie — 3500 egzemplarzy. I choć w zestawie danych nie wychodzi poza 1970 rok, to stanowi bogate kompendium wiedzy o Łodzi. Nie jest to publikacja pamiatkowa. Jej autorzy postawili sobie za cel spopularyzowanie podstawowej wiedzy o Łodzi, o jej przeszłości — na ile to było możliwe — i o jej teraźniejszości. Uważny czytelnik znajdzie tam bogaty materiał dla własnych przemyśleń i spostrzeżeń.

550 - ŁÓDŹ - 150

Sięgnijmy do niektórych porównań.

Krótko przed wojną pracowało w Łodzi około 130 tys. osób. W 1970 roku — 422,8 tys. Przed wojną około 90 proc. pracujących w przemyśle stanowili robotnicy przedsiębiorstw włókienniczych. Dziś procent ten wyraźnie się zmniejszył na korzyść przemysłów odzieżowego, elektrotechnicznego i maszynowego. W 1970 roku w przemyśle włókienniczym pracowało 52 proc. wszystkich zatrudnionych w zakładach przemysłowych Łodzi.

Ale Łódź jest nie tylko przemysłowa. Istnieje bowiem — a o tym na ogół mało wiemy — Łódź... rolnicza. Wprawdzie w latach 1960—1970 powierzchnia użytków rolnych zmalała o 1142 ha, jednakże w ubiegłym roku — i tu sięgam do „Rocznika Statystycznego miasta Łodzi 1973”, który niedawno ukazał się drukiem — było w mieście 9265 ha użytków rolnych. Najbardziej rolniczą dzielnicą jest Widzew, gdzie znajduje się 3148 ha użytków rolnych. Ba! Użytki rolne można znaleźć również w... śródmieściu Łodzi. Jest tego aż 38 ha. Mamy też w mieście 2733 krowy, 1908 owiec i 1131 koni.

I jeszcze ciekawostka z „Rocznika Statystycznego miasta Łodzi 1973”. Najbardziej deszczowym miesiącem 1970 roku był lipiec (134 mm opadów), w 1971 — czerwiec (150 mm), w ubiegłym roku — kwiecień (99,4 mm) i sierpień (92,7 mm). Najwięcej w ciągu roku jest dni — niestety — pochmurnych. W 1970 roku było ich 111, w 1971 — 179, a w roku ubiegłym — 108. Podczas gdy dni pogodnych było w 1970 roku 33, w 1971 — 25, 1972 — 58. Jak będzie w tym roku dowiemy się za rok.

Wróćmy do porównań z „Albumu statystyczno-gospodarczego”.

Na ulicach miasta obserwujemy stały wzrost ilości pojazdów mechanicznych, czyli mówiąc prościej samochodów i motocykli. Mamy ich obecnie 60 187, w tym prywatnych samochodów osobowych 24 324 oraz 22 184

prywatne motocykle i skutery. Mimo tego wzrostu ilość samochodów osobowych na tysiąc mieszkańców Łodzi — według danych z 1970 roku — wynosząca 25,7 jest najniższą z miast wydzielonych. W Warszawie na tysiąc mieszkańców przypada 46,1 samochodu osobowego, w Poznaniu — 46, we Wrocławiu — 32,1, w Krakowie — 31,8.

Takich porównań, z których wyraźnie widać, ile mamy do odrobienia w Łodzi można w Albumie znaleźć znacznie więcej. Ot choćby to, które pokazuje nasze telefoniczne kłopoty. W 1970 roku na tysiąc mieszkańców Łodzi przypadało 53,5 abonenta telefonu, podczas gdy w Warszawie — 139,7, w Poznaniu — 67,4, we Wrocławiu — 72,3, w Krakowie — 60,3. I już jako ciekawostka telefoniczna fakt, że w 1939 roku na tysiąc łodzian aparaty telefoniczne miało 24,3.

Album jest barwny. Obrazowo ukazuje gospodarczą i społeczną sytuację miasta. Niektóre rysunki i wykresy więcej mówią o naszej teraźniejszości niż opisy i komentarze. Oto dla przykładu mapa rozmieszczenia placówek gastronomicznych. Większość lokali, a w tym wszystkie kategorie „S” i „I”, zostały wybudowane w latach 1960—1970. Działalność gastronomiczną — jak stwierdza Album — prowadzi w Łodzi 174 placówek (obecnie 185) to jest o 13 mniej niż w Poznaniu, o 23 niż we Wrocławiu, o 111 mniej niż w Krakowie.

Bywamy też lepsi. I to w dziedzinie, o której powszechnie mamy tak dobre opinie. Okazuje się, że statystycznie łodzianin bywa przeciętnie w roku 1,8 raza w teatrze, podczas gdy statystyczny krakowianin — 1,6 raza, poznanianin — 1,7 raza. Tylko statystyczny warszawiak bije nas na głowę i bywa 2,4 raza.

M. RODAK

ZE ŚWIATA

Politycy lubią niekiedy posługiwać się słownictwem meteorologicznym dla określenia stanu stosunków między państwami. Jeśli przyjąć tę metodę — to trzeba powiedzieć, że nad Europą znajduje się rozległy wyż, bez skłonności do burz. Lato mamy więc w polityce pogodną, a w przerwie między pierwszą i drugą fazą europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy (jak wiemy ta druga rozpocznie się 18 września) największym wydarzeniem międzynarodowym jest berliński FESTIWAL MŁODZIEŻY I STUDENTÓW. Jubileuszowy już, bo dziesiąty. Zgłosili w nim udział przedstawiciele młodzieży ze 140 krajów, ze wszystkich kontynentów. We współczesnym świecie, w którym górą biorą tendencje do pokojowego współistnienia i współpracy, festiwal może spełnić wielką rolę. Nie bowiem tak nie służy wzajemnym stosunkom, jak poznanie się, prezentowanie swoich dążeń i celów. Realizuje więc festiwal jedną z idei konferencji w Helsinkach — zbliżenia między narodami.

Dzisiejszy komentarz chcemy w zasadzie poświęcić wydarzeniom pozaeuropejskim, ale trudno przemilczeć jedną z wizyt stolicy europejskiego kraju — żywo komentowaną przez prasę. Mamy tu na myśli PRZYJAZD DO LONDYNU PREMIERA RZĄDU PORTUGALSKIEGO. Otóż opinia publiczna zbulwersowana została tym, że rząd brytyjski kraju szczytującego się swą demokratycznością, gości wysokiego przedstawiciela Portugalii, która od lat prowadzi brutalną wojnę kolonialną w Mozambiku, Angoli i Gwinei — Bissau. Portugalskiego polityka powitany w Londynie demonstrując tłumy, a przywódcą opozycji — Wilson, co jest wydarzeniem bez precedensu, ogłosił bojkot wizyty.

Piszemy o tym na pozór drobnym wydarzeniu, gdyż jest ono kluczem do odpowiedzi na często nasuwające się pytanie, dlaczego W. Brytania nie wykorzystuje w pełni

swych możliwości w światowym procesie odprężeniowym. Polityka zagraniczna konserwatystów jest w dalszym ciągu anachroniczna, niedostosowana do współczesnych tendencji. I właśnie wizyta Caetano jest ilustracją starych, kolonialnych sympatii. Zdaniem wielu komentatorów — ta wizyta może rząd konserwatywny kosztować bardzo drogo.

A teraz — w myśl zapowiedzi — nieco o wydarzeniach spoza naszego kontynentu.

W WIETNAMIE stabilizuje się pokój. Wydarzeniem ostatnich dni jest przedłożenie przez Tymczasowy Rząd Republiki Wietnamu Południowego 7-punktowego planu zagwarantowania ludności swobód demokratycznych. Plan ten przewiduje m. in. zakaz aresztowania, deportacji i torturowania kogokolwiek za przekonania polityczne, swobodę poruszania się po całym kraju, wolność religii i gwarancje dla własności prywatnej. Przyjęcie tej propozycji eliminowałoby liczne ograniczenia swobód obywatelskich, jakie praktykowane są w Wietnamie Płd. Dotychczas np. Wietnamczycy mogą podróżować tylko za zgodą władz. Niestety — przedstawiciel strony sajsjońskiej odrzucił plan Tymczasowego Rządu. Ale rozmowy w Celle-Saint-Cloud pod Paryżem, które mają charakter konsultatywny konferencji stron południowowietnamskich, toczą się nadal.

W DRW tymczasem trwa proces odbudowy kraju po zniszczeniach wojennych. Temu celowi służy również europejska podróż premiera Pham Van Donga, prowadząca m.in. przez Warszawę.

W AFGANISTANIE, po obaleniu monarchii, uformował się republikański rząd, a prezydentem państwa ogłoszony został Mohammed Daud, który jednocześnie sprawuje funkcję premiera. Daud liczy sobie 64 lata i przed 10 laty był premierem rządu. Komentatorzy zachodni oceniają, że jest on bardziej radykalny niż obalony król Zahir, który w polityce zagranicznej starał się równoważyć wpływy dwóch światowych obozów, i z pewnością zdążyć będzie do polepszenia stosunków ze Związkiem Radzieckim.

Rozczarowaniem Japonczyków zakończyły się ROZMOWY JAPONSKO-AMERYKAŃSKIE w Tokio z udziałem

ministrów spraw zagranicznych obu państw. Miały one oczyścić przedpole w dziedzinie ekonomicznej do zapowiedzianego na wrzesień spotkania premiera Tanaki z Nixonem, a tymczasem nie przyniosły żadnego rezultatu.

Oto co pisze na ten temat dziennik „Tokyo Shimbun”:

„Dyskusja powinna skoncentrować się na tym, jaki ma być nowy charakter stosunków Japonia — USA w wielobiegunowym świecie. A tymczasem ograniczono się do ponownego ustalenia obu krajów w dotychczasowych konwencjonalnych ramach. Dlatego jesteśmy w najwyższym stopniu rozczarowani wynikami spotkania. Rogers, mimo apelu Ohtsuy, z całym rozmysłem pomógł zagadnieniu zdefiniowania po nowemu stosunków między naszymi krajami”.

Inny dziennik dodaje, że Rogers domagał się, aby Japonczycy wzięli na siebie część odpowiedzialności politycznej i finansowej za politykę wspierania różnych lokalnych reżimów.

Tanaka nie będzie więc miał w Waszyngtonie łatwego zadania.

Znacznemu zaostrzeniu uległy STOSUNKI MIĘDZY EGIPTEM I LIBIĄ. Na przełomie czerwca i lipca toczyły się rozmowy Sadata i Kaddafiego (przez 18 dni) na temat unii obu krajów. Uzgodniono wówczas, że 1 września br. odbędzie się na ten temat pierwsze referendum, a po roku drugie. Przedmiotem pierwszego mają być zasady unii, a drugiego — konstytucja zjednoczonego państwa oraz wybór prezydenta. Mimo tych uzgodnień w Libii zorganizowano z udziałem wielu tysięcy mieszkańców „marsz jednoci”, którego celem jest przyspieszenie unii. Prezydent Sadat ostro zareagował na tę demonstrację, ostrzegając Kaddafiego, że jej skutek może być tylko wręcz odwrotny.

Przegląd bieżących wydarzeń pozaeuropejskich zakończył informacja o DEBACIE RADY BEZPIECZEŃSTWA NAD SYTUACJĄ BLISKOWSCHODNIA. W toku dyskusji przedstawiciel Związku Radzieckiego raz jeszcze zadeklarował udział jego rządu we wszystkich wysiłkach dyplomatycznych, które mogłyby pomóc przelać impas. ZSRR gotów jest uczestniczyć w rokowaniach wielkich mocarstw, jeśli te zostaną wznowione.

W. SŁAWSKI



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLIH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

LAUREACI NAGRÓD MINISTRA KULTURY I SZTUKI



JADWIGA
ANDRZEJEWSKA

Urodziła się w teatrze. W tym stwierdzeniu nie ma ani odrobiny przesady, bo Jadwiga Andrzejewska urodziła się w Łodzi, przy ulicy Cegielnianej, tam, gdzie był kiedyś Teatr Miejski, a dziś — Teatr im. S. Jaracza. Ojciec Jadwigi Andrzejewskiej pracował w teatrze. „Zadebiutowała” już jako sześciogodniowe niemowlę, w sztuce, w której potrzebne było na scenie płaczące dziecko.

Przez następne lata „wypóżyczano” od państwa Andrzejewskich córkę do każdej sztuki, w której potrzebne było dziecko. I tak się zaczęło. Grała z wieloma znakomitymi aktorami.

Jednak karierę sceniczną zaczęła od swojej pierwszej wielkiej roli — Manuelli w „Dziewczętach w mundurkach”, granej w warszawskim Teatrze Kameralnym, prowadzonym wówczas przez Karola Adwentowicza. W Warszawie również zetknęła się z filmem. Grała najpierw w dramatach: „Wyrok życia”, „Dziewczęta z Nowolipiek”, „Strachy”, „Moi rodzice rozwodzą się”, „Doktor Murek”. Odmianą popularność Jadwiga Andrzejewska zdobyła rolami komediowymi. Stworzyła wówczas typ niepozornego dziewczęcia w okularach i bawiła widzów kinowych w filmach: „Ada to nie wypada”, „Zapomniana melodia”, „Papa się żeni”, „Szczęśliwa 13” i wielu innych.

W czasie wojny razem z innymi aktorami występowała w wojskowych zespołach teatralnych w Związku Radzieckim, na Bliskim Wschodzie, w Afryce Północnej i w Anglii. Do Polski, do Łodzi wróciła w 1947 roku. Występowała w „Syrenie”, później w Teatrze im. S. Jaracza, Teatrze Satyryków „7,15” i w Teatrze Powszechnym, gdzie wstrząsając i bawiąc widzów występuje do dziś.



TERESA KUBIAK

„Najrzadszy z operowych ptaków od czasów Renaty Tebaldi” — tak pisali zagraniční recenzenci po występach Teresy Kubiak. Solistka Teatru Wielkiego w Łodzi, ukończyła w 1966 roku studia wokalistyczne w Łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej, w klasie profesor Olgi Olginy. Pierwsze sukcesy międzynarodowe odniosła Teresa Kubiak jeszcze jako studentka, kiedy to została laureatką międzynarodowych konkursów wokalistycznych w Helsinkach, Tuluzie i Monachium.

W czasie występu z Teatrem Wielkim w Gruzji odniosła pierwszy międzynarodowy sukces sceniczny i zapoczątkowała karierę na scenach operowych świata. Od 1970 roku nazwisko Teresy Kubiak regularnie pojawia się na afiszach najlepszych teatrów operowych za granicą. Występowała i występuje między innymi w Stanach Zjednoczonych, Anglii, we Włoszech, Hiszpanii, Austrii. W swoim repertuarze ma role operowe z „Damy pikowej” Czajkowskiego, „Królowej Saby” Goldmarka, „Eurianty” Webera, „Madame Butterfly” Pucciniego, „Toski” Verdiego, „Elektry” Straussa, „La Caliste” Cavollego.

Lista jej zagranicznych występów jest tak bogata, że na macierzystej scenie Teatru Wielkiego w Łodzi występuje jedynie gościnnie. Swoim talentem służy jednak dobrze rozslawianiu polskiej wokalistyki i kultury po świecie. Wiele radiofonii świata ma w swoich archiwach nagrania jej operowych ról. Dojdą do tego dalsze nagrania. W najbliższych planach Teresa Kubiak ma występy w Wiedniu, Nowym Jorku i Monachium.



BENON LIBERSKI

Benon Liberski, długoletni prezes Łódzkiego Okręgu Zw. Polskich Artystów Plastyków od lat związany jest z Łodzią, w której się urodził.

Uprawia twórczość bogatą i wielokierunkową. Obrazy olejne i grafika warsztatowa — przeważnie linoryt — są podstawowymi kierunkami jego artystycznej działalności. Bogactwo podejmowanych przez Benona Liberskiego tematów, różnorodność form artystycznej wypowiedzi stawia go w czołowej współczesnych artystów polskich, orientujących się na kierunek zwany „nową figuracją”.

Tematem jego twórczości, co stawia ją na specjalnie uprzywilejowanych pozycjach, jest przede wszystkim człowiek. Nie tylko postać ludzka czy też sceny zbiorowe, często o podtekście symbolicznym. Benon Liberski maluje także pejzaże, a zwłaszcza pejzaże miejskie — Łódź secesyjną, jej specyficzną architekturę do niedawna wyrzucaną jeszcze na margines estetycznych gustów, a dziś odkrytą na nowo, docenianą i restaurowaną pieczołowicie.

Benon Liberski swoim wrażliwym okiem artysty dostrzegł tę architekturę już dawno. W 1960 roku powstał pierwszy jego obraz, pejzaż Łodzi przemysłowej, który znajduje się obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Jest także druga forma działalności Benona Liberskiego, równie istotna i ważka z punktu widzenia społecznego, a mianowicie praca w dziedzinie upowszechniania twórczości plastycznej wśród szerokiej publiczności. Połączenie własnej, bogatej twórczości z działalnością propagandową jest wyrazem i wieloznaczącym dowodem właściwie pojętego zaangażowania w sprawy kultury, miasta w którym mieszka i tworzy i które jest dla niego źródłem nieustannego inspiracji.



JERZY WAWRZAK

Poeta i prozaik. W 1963 roku wydał tomik wierszy „Asocjacje”. W rok później drugi — „Luminescencje”. W tym samym roku ukazała się też pierwsza powieść Jerzego Wawrzaka — „Okolica moich przyjaciół”.

Jerzy Wawrzak urodził się w Częstochowie w 1936 roku. Tam też chodził do szkoły, aby później studiować na Wydziale Metalurgicznym Politechniki Częstochowskiej. Po jej ukończeniu przez dwa lata pracuje w hutnictwie. Doświadczenia tego okresu zawiera w książce „Okolica moich przyjaciół”.

Następne lata, kiedy pracuje w szkolnictwie zawodowym i jest dyrektorem POM w powiecie wieluńskim, przynoszą Jerzemu Wawrzakowi dalsze doświadczenia, spostrzeżenia i refleksje o naszej współczesności. Interesuje go problem pracy, problem polityczny i moralny dojrzenia ludzi. Zawsze bohaterów swoich powieści widzi w konkretnej, rzetelnie opisywanej rzeczywistości.

Na półkach księgarskich pojawiają się dalsze książki Jerzego Wawrzaka: „Nim podpalą niebo” i „Rekomendacja”. Ukazały się one w 1966 roku. W cztery lata później — „Nietutejszy”. W rok później „Linia”. Ostatnio na półkach księgarskich ukazała się kolejna książka Jerzego Wawrzaka — „Na spotkanie dnia”.

Powieść „Nim podpalą niebo” otrzymała wyróżnienie CRZZ. „Linia” przyniosła piśarzowi nagrodę CRZZ. Stała się też powieścią szeroko dyskutowaną, podaje bawiem trudną i złożoną problematykę polityczną i moralną naszej współczesności. W tym roku Jerzy Wawrzak zadebiutował jako dramaturg na deskach częstochowskiego teatru.

Od roku jest redaktorem naczelnym „Odgłosów”.



„HARNAM”

Tak określa się popularny w kraju i za granicą zespół taneczny, którego pełną nazwą brzmi: ZESPÓŁ TAŃCA LUDOWEGO przy Zakładach Przemysłu Bawelnianego im. Szymona Harnama w Łodzi. Powstał w 1947 roku, początkowo jako grupa taneczna zakładowego zespołu teatralnego, później przez dwa lata istniał jako dziewczęcy zespół taneczny. Zespół ten założyła i opiekuje się nim do dziś kierowniczka Zakładowego Domu Kultury ZPB im. Sz. Harnama — Maria Szkudlarek. Kierownictwo artystyczne i choreograficzne objęła w 1947 roku i sprawuje do dziś JADWIGA HRYNIEWIEC-KA.

Tańcem ludowym zajęli się na długo przed powstaniem „Mazowsza” i „Śląska”. A i do dziś, mimo istnienia innych zespołów tańca ludowego, „Harnam” — jak to podkreślają zagranicznicy i krajowi recenzenci — potrafi zachować swoją oryginalność i odrębność.

Członkowie pięćdziesięciosobowego zespołu „Harnama” związani z nim są od dziecka, zaczynali bowiem uczyć się tańca w zespole dziecięcym, aby po latach prób i ćwiczeń znaleźć się w zespole reprezentacyjnym. Dzięki temu „Harnam” od lat utrzymuje wysoki i wyróżniony poziom artystyczny.

„Harnam” występuje nie tylko przed publicznością krajową. Niemal od początku swego istnienia rozsławia polski taniec ludowy po całym świecie. Zjeżdżił już niemal wszystkie kontynenty. Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień zarówno krajowych, jak i międzynarodowych.

JADWIGA ŁUŻYŃSKA-DOROBOWA

Jak zostać „artystą”

Państwowa WYŻSZA SZKOŁA SZTUK PLASTYCZNYCH w Łodzi ma od lat ustaloną wysoką rangę. Corocznie szturmują jej bramy ogromna liczba kandydatów. Nie za duża w porównaniu z napływającymi do szkoły ze strony przemysłu zapotrzebowaniami na plastyków projektantów, ale zbyt wielka w zestawieniu z możliwościami uczelni. Zaiste, nie ma w Polsce drugiej wyższej szkoły, która funkcjonowałaby w podobnie żalonych warunkach. W części budynków PWSSP dawno już zaczęły walić się ściany, innym grozi w niedalekiej przyszłości. Jest jednak nadzieja na rychłe otrzymanie nowego gmachu. Ma to nastąpić na przełomie r. 1975—1976.

Podbudowana tą perspektywą i świadoma zmieniających się potrzeb społecznych PWSSP orarowała przed dwoma laty, nowy am-

bitny program i — w związku z tym — nową strukturę. Mało o niej wiedzieli tegożroczni kandydaci. Stąd wiele nieporozumień wido-

czych w planach i marzeniach przyszłych artystów plastyków, którym śni się wielka kariera artystyczna, a większość z nich wszakże nie uitożsamia się z pracą przemysłowego projektanta. Ta ostatnia w odczuciu znacznej części młodzieży ma o wiele niższą rangę od uprawiania malarstwa, rzeźby czy grafiki warsztatowej.

O 40 miejsc na I rok studiów konkurowało z sobą w br. 249 kandydatów. W wyniku komisyjnej oceny „domowych” prac rysunkowych i malarskich do egzaminów wstępnych dojrzało 101 kandydatów. W efekcie anonimowego egzaminu praktycznego z rysunku, kompozycji i malarstwa liczba ta zmalała o ponad 50 proc. Kolejnym etapem były egzaminy ustne z wiedzy o kulturze i sztuce oraz propedeutyki nauk społecznych i piśmenny egzamin z historii sztuki i wybranego lektoratu. Wreszcie egzamin ustny, który stał się pierwszą okazją do bezpośredniej rozmowy z kandydatem, do poznania jego wiadomości, poglądów i zamierzeń.

— Czego się pani uczyła do dzisiejszego egzaminu? — pytam w korytarzu kolorowo ubraną dziewczynę.

— O kulturze i sztuce, no i tak ogólnie.

— Czy ma pani nadzieję dostać się do szkoły?

— Zawsze trzeba mieć nadzieję, proszę pani.

— Czego pan się najbardziej boi? — kierując pyta-

wego egzaminu praktycznego z rysunku, kompozycji i malarstwa liczba ta zmalała o ponad 50 proc. Kolejnym etapem były egzaminy ustne z wiedzy o kulturze i sztuce oraz propedeutyki nauk społecznych i piśmenny egzamin z historii sztuki i wybranego lektoratu. Wreszcie egzamin ustny, który stał się pierwszą okazją do bezpośredniej rozmowy z kandydatem, do poznania jego wiadomości, poglądów i zamierzeń.

— Czego się pani uczyła do dzisiejszego egzaminu? — pytam w korytarzu kolorowo ubraną dziewczynę.

— O kulturze i sztuce, no i tak ogólnie.

— Czy ma pani nadzieję dostać się do szkoły?

— Zawsze trzeba mieć nadzieję, proszę pani.

— Czego pan się najbardziej boi? — kierując pyta-

wego egzaminu praktycznego z rysunku, kompozycji i malarstwa liczba ta zmalała o ponad 50 proc. Kolejnym etapem były egzaminy ustne z wiedzy o kulturze i sztuce oraz propedeutyki nauk społecznych i piśmenny egzamin z historii sztuki i wybranego lektoratu. Wreszcie egzamin ustny, który stał się pierwszą okazją do bezpośredniej rozmowy z kandydatem, do poznania jego wiadomości, poglądów i zamierzeń.

— Czego się pani uczyła do dzisiejszego egzaminu? — pytam w korytarzu kolorowo ubraną dziewczynę.

— O kulturze i sztuce, no i tak ogólnie.

— Czy ma pani nadzieję dostać się do szkoły?

— Zawsze trzeba mieć nadzieję, proszę pani.

— Czego pan się najbardziej boi? — kierując pyta-

nie do nerwowo rozglądającego się młodzieńca.

— No, najbardziej to zagadnień politycznych.

— A do czego pan się najwięcej przygotowywał?

— Do zagadnień sztuki współczesnej.

— Co pan zamierza robić w przypadku niedostania się do szkoły?

— Przyjdę znowu zdawać, za rok.

— A co w panu budziło największe wątpliwości? — pytam innego młodego człowieka.

— Samo dopuszczenie do egzaminu w oparciu o prace domowe.

— A do czego pan się najstaranniej przygotowywał?

— Do rysunku.

— Czy do egzaminu uстного także?

Dalszy ciąg na str. 4

W PODRÓŻ JUWENTUREM

Marynarz — zabawka zakupiona w Odessie — wybuchnął w czyjejs torbie zaraźliwym śmiechem rozpogadzając skupione twarze niezwykle pracowitych celników z Moscis. Kiedy niedługo później, polski celnik zapytał, czy to orbisowska grupa, już bez pomocy „śmieška”, uśmiechnął się od ucha do ucha, usłyszawszy, że powraca z wycieczki grupa młodzieży „Juwentur”. Po dokonaniu ostatecznej korekty swoich przepisów, za górną granicę młodości uznał wiek 35 lat, nie mniej dopuszczał do praw uczestników wycieczki wszystkich tych, którzy młodo czują się w każdym wieku, za niewielką 25-procentową dopłatą. Rzeczywiście, której świadkiem był polski celnik, potwierdziła że młodość u większości turystów zaczyna się później niż przewiduje kodeks „Juwentur”. Sam „Juwentur”, mimo że znacznie młodszy jest od bratnich biur turystycznych w szybkim tempie zdobywa rozgłos i sławę nie tylko dzięki oferowaniu niższych cen wycieczek zagranicznych.

Wiek etatowych pracowników „Juwentur” zbliżony jest do dolnej granicy młodości. A młodość ma swoje prawa. Organizatorzy nie odzwyczajeni jeszcze od zbiorów harcerskich, tuż przed odjazdem ogłosili telefonicznie alert i zrobili uczestnikom odprawę w ZHP. Program potraktowano jako sprawę mniejszej wagi. Na odprawie wybrano starostę i kilku zastępców. Poinformowano o przepisach de wizowych nie znanych dotąd nawet władzom celnym. Na końcu podali godzinę odjazdu pociągu z Warszawy. Godzina 15! Zbiórke harcerzy i sympatyków na Dworcu Fabrycznym w Łodzi ogłoszono na godzinę przed odjazdem pociągu do Warszawy.

Znający mówili: — Zycie zaczyna się dopiero na statku z Odessy, warto pomedyć się trochę, aby potem odpocząć w luksusie. Mielj racje. A mimo tego, człowiek długo zastanawiał się, dlaczego w ostatnim tygodniu (tuż przed odprawą), terminował się o przesunięciu, tylko w wycieczki na sześć dni, tylko o dwa dni, i o tym, dowiaż oż odbędzie się pociągiem zamiast samolotem. A w czasie podróży, pytania mnożyły się: dlaczego inne grupy z innych



miast, za tą samą cenę odlatują a nie jadą, dlaczego częściej samej grupy ma miejsca w wagonach sypialnych, a druga część w kuzetkach kilkunastuosobowych, dlaczego w tej samej cenie wkalkulowano katusze sześciuosobowe, jak idu osobowe?

Warszawa. Dworzec Wileński. Express Berlin — Mosk a odjeżdża. Odjeżdża, a grupa, po bezskutecznych próbach o zabranie kierowanych do wszystkich udzielnich władów wagonów „Wars”, pozostaje na peronie. Nikt się nie spóźnił. Express odjechał planowo. Biletu były ważne ale na pociąg, który odjechał 2 godziny wcześniej.

Dopiero delegacja u najwyższych władz „Juwentur” sprawiła, że wycieczka otrzymała komfortowy „Borus” aż do granicy. Rozpoczął się wyścig z czasem. Niestety. W Kijowie byliśmy zamiast o 11 rano, o 2 w nocy.

A później było dobrze, bo „Juwentur” nie więcej nie organizował. Zetknęli się z przyrodą Krymu i Kaukazu i z serdecznością ludzi radzieckich wynagrodziło nam straty poniesione dzięki organizacyjnym zdolnościom „Juwentur”.

(Nazwisko i adres znane red.)

★

W związku z ogłoszeniem w nr 25 „Odgłosów” listu Czytelniczek — ab. dr. W. Szymajskiej wyrażającej się z uznaniem o poziomie pracy naszej restauracji „Smakosz” w Szerociewie, niniejszym pragniemy za pośrednictwem Redakcji złożyć jej podziękowanie za publiczne wyrażenie pochlebnej opinii. Pragniemy jednocześnie poinformować, że zakładów, równających do poziomu reprezentowanego przez tę restaurację, jest coraz więcej. Dla ułatwienia przekazywania nam uwag o pracy naszej gastronomii, 34 zakłady wyposażyliśmy w kartki pocztowe z opłaconą należnością za przesyłkę. Wystarczy poprosić o kartkę, wpisać swe uwagi i wrzucić ją do najbliższej przy tym zapewnić, że kartki te — zarówno z pozytywnej, jak i szerególnie z negatywnej treścią — stanowią dla nas cenny materiał, pozwalający na szybkie i skuteczne występowanie wycieczki jeszcze niedomagane.

Teresa Jackowska
Wice-prezes Zarz. WZGS

JAK ZOSTAĆ „ARTYSTĄ”

Dalszy ciąg ze str. 3

— Nie, specjalnie nie. Po prostu czytałem co mnie interesuje. Tak jak zawsze. Tyle zdążyłam zanotować na korytarzu. A co mówili o sobie już nie prywatnie, ale do komisji egzaminacyjnej? Kandydatów pytano: o ulubioną lub określoną epokę, styl, kierunek, dzieło plastyczne, o znane wystawy, muzea, o organy władzy i administracji w PRL, o kierunki rozwoju społeczno-gospodarczego w myśli Uchwały VI Zjazdu PZPR, o VII Plenum KC PZPR z listopada 1972 r., i międzynarodowe znaczenie układu Polska — NRF itd. itd.

DZIEWCZYNA. Przed rokiem ukończyła LSP. Interesuje ją biżuteria, kiedyś zamierzała poświęcić się scenografii teatralnej, zapytana o interesująca jej zdaniem, łódzka sztuka teatralna w związku ze zdumieniem ramionami. Nie dostrzegła nic ciekawego wśród łódzkiej sceny. Fascynuje ją natomiast twórczość jednego z warszawskich reżyserów. Czy widziała jakąś jego sztukę teatralną? Nie, ale słyszała i czytała o nim recenzje. Do egzaminu przygotowywała się robiąc biżuterię, trochę rzeźbiła, rysowała, malowała mniej. Czytała także opracowania z zakresu historii sztuki. Jeżeli chodzi o prasę i czasopisma — czyta „Projekt”, „Przegląd Artystyczny”, „Głos Robotniczy”, „Panoramę Północy”.

INNA DZIEWCZYNA. Maturę zdała 4 lata temu. Do PWSSP próbowała dostać się już 3 razy, zawsze na wydział projektowania tkaniny. Chciałaby pracować w filmie animowanym dla dzieci. Problem wychowania dzieci jest jej głównym zainteresowaniem. Czy coś czyta? Oczywiście tygodniki filmowe. Czy śledzi publikacje filmowe także w innych pismach? Nie, po co, one są wtórne w stosunku do czasopism filmowych, pisane w oparciu o nie. Dla przykładu wymienia „Odgłosy” i „Życie Literackie”. A „Kultura”? „Polityka”, inne gazety? — Nie czyta, bo naprawdę pasjonuje ją tylko problematyka dzieci.

JESZCZE INNA DZIEWCZYNA. Przed 5 laty zdała maturę. Próbowała już dostać się 3 razy do PWSSP i raz na Politechnikę Warszawską. Chciałaby w przyszłości projektować odzież robotniczą. Widzi wiele zaniedbań w tym względzie. Pragnęłaby mieć jakiś wpływ w przyszłości na poprawę estetyki i funkcjonalności ubioru robotników. Widzi także potrzebę krzewienia estetyki urzędowania mieszkań prostych ludzi, kształtowania ich gustu i poczucia smaku. Czyta stale „Projekt” i „Przegląd Artystyczny” oraz dzienniki.

Tyle przykładów nie będących pełnym odbiciem egzaminu ani całości egzaminu ustnego. Ale odzwierciedlających w jakimś stopniu pewne zjawisko ogólne, wielce niepokojące. Większość tegorocznych kandydatów do PWSSP — to osoby dojrzałe wiekiem, mające ukończonych 20 i więcej lat, osoby często pracujące zarobkowo, legitymujące się dobrymi opiniami ze szkoły i miejsc pracy, a równocześnie wykazujące tak mało rozeznanie w sprawach, o których żyje całe społeczeństwo, w sprawach które im właśnie przyjdzie kontynuować, z efektów których oni także, a może przede wszystkim oni, będą korzystali już w niedalekiej przyszłości. Niepokoi jakieżś zawieszanie w próżni poważnej części tych

JADWIGA LUŻYŃSKA-DOROBOWA

Dalszy ciąg ze str. 1

lany pierścień otaczającym Leningrad.

DZIENNIK TANI

Tania Sawczuk miała osiem lat. Nie podzieliła losu swych rówieśników, którzy zmarli bezimiennie. Tania prowadziła swój dziennik — tak jak może to robić dziewczynka, która dopiero co nauczyła się pisać. Dziennik Tani składał się z sześciu małych kartek kratkowanego papieru. Pierwszy zapis:

„Strasznie padają bomby. Tania”.

Następne kartki zapisane tym samym dziecięcym śmiejącym piśmem są równie lakoniczne. Konczą się zawsze podpisem „Tania”, a zawiadają o śmierci najbliższych: siostry, matki. Ostatni zapis: „Zostałam sama, Tania”. Kiedy przerwano śmiertelną obręcz, kiedy na wielką ziemię wyprawiono stąd pierwsze pociągi, wypelniały je wynędzniałe, wyglądzone, półżywe dzieci. Była wśród nich i Tania Sawczuk. Ale głód, mróz i wszystko co tu widziały dosięgnęły ją jednak w drodze do życia. Tania miała wtedy osiem lat.

BLOKADA

Blokada Leningradu rozpoczęła się 1 września 1941 roku. 900 dni odcięcia od świata — jeśli nie liczyć cienkiej nitki „Drogi Życia”, która prowadziła przez jezioro Ladoga i znajdowała się, oczywiście, pod ciągłym ostrzałem, pod bombami.

Z Leningradu ewakuowała się tylko niewielka część jego mieszkańców. Został w nim nie tylko ci, którzy byli niezbędni, aby obronił organizm miasta, funkcjonował w miarę normalnie, nie tylko ci, którzy potrzebowali być w zakładach pracy zapotrąających front. Zostali Leningradzcy — ludzie, którzy nie wyobrażali sobie, że mogą żyć w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Pracowali wszędzie — jedni w swoich zakładach pracy, które musiały funkcjonować, inni przy kopalniach, przy budowie umocnień „obronnych”. Dysproporcja między liczbą mieszkańców a liczbą dożywających w ten sposób ludzi była ogromna. W skład tych uzupełniających pułków wchodziły przede wszystkim ludzie starsi, minimalnie wyszkoleni. Każdy jednak człowiek był ważny; front zbliżał się szybko. Nacisk np. od południowego zachodu, gdzie broń się m. in. w Gwardyjska Dywizja pospolitego ruszenia (walczyli w jej szeregach jako saper znany pisarz Leningradzki Iwan Iwanowicz Winogradow, który o tych bojach mi opowiadał) wycofywała się spod Ługi w sierpniu, oddając kolejno Gacynę, potem miasto Puszkino (dawne Carskie Sioło), aby zająć się w okolicach Pulkowa. Stąd do Leningradu było już tylko 20 km i przy pomocy ciężkich dział można było ostrzelać miasto. Razem z wojskiem wykorzystywali się do Leningradu kobiety kopające rowy przeciwczołowe i ludność zagarniętą przez Niemców terenów. Tym w przyszłości miało być najciężej.

Mieszkańcy Leningradu po ujęciu na opat sprzętów i książek, mogli jeszcze spać w parkach swego mieszkania, tamci nie mieli nic na własność. Już jednak na początku wszystkim było ogromnie ciężko. Przychodzili do ołbrzymiego miasta (już za pięćosobowymi grupkami wycofujących się ludzi hitlerowskie samoloty weszły w pocisk strzelający z broni pokładowej) z nadzieją, miasto jednak nie mogło im dać nic.

W obzernej ekspozycji, która znajduje się w Muzeum Historii Leningradu, a poświęconą jest obronie miasta, widziałem 250-gramowy kawałek takiego

chleba. Jest — teraz zeschnięty, nie większy od dwóch paczek zapalek. Ale wtedy też nie był wielki, a od jedzenia krwawili dziąsła. Chleb ten składał się z:

- makaj razowej — 50 proc.
- celulozy — 15 proc.
- makuchów — 10 proc.
- otrąb — 10 proc.
- kurzu — 5 proc.

We wrześniu zbombardowano największe w Leningradzie magazyny żywnościowe, tzn. Bajdajewskie składy. W końcu li-

parkach, przed sławnymi na cały świat budowlami ciągnęły się grządki kapusty, marchewki, cebuli. To było potem. A na początku utworzone brygady dziewcząt, które rozosiły przydzielony chleb nie mogącym już chodzić staruszkom. I donosili. Chleb nigdy nie zginął.

Największymi specjalistami od rozbrajania bomb zapalających — mówił mi o tym

Ona, chemik — farmaceuta, kiedy zbliżał się front, kopala, jak wszyscy Leningradzcy, rowy przeciwczołowe, potem, kiedy trzeba było się wycofać — wróciła do miasta. Pracowała w swoim zawodzie. Tzn. najpierw ratowała pod ostrzałem, pod bombami żywność z Badajewskich Składow. Potem trzeba było znaleźć sposób oddzielenia stopionego w pożarze cukru od ziemi. Potem trzeba było dokonać odkrycia: jak wydobyc glukozę z celulozy?

Tu, gdzie nie przychodzi WIOSNA

autor wielu książek dla dzieci, German Goppe — byli mali, kilku i kilkunastoletni chłopcy. Wszystkie, które spadły przed 1942 r. zostały zgaszone przez dzieci.

O Leningradzkich jaskółkach z lat blokady dowiedziałam się z wiersza Ołgi Berghole postki, która przeżyła ze swoim miastem wszystkie najcięższe dni Leningradzcy, których rodziny były ewakuowa-

Widziałem, kadry filmu — dokumentu. Chodnikiem, wzdłuż tych samych co dziś krat Letniego Sadu idzie opatulona w chusty kobieta. W ręku ma wiadro, pewnie idzie po wodę do ulicznej studni. Nagle zatrzymuje się i przewraca na wznak na przymie śniegu i lodu. Umiera z głodu. Widzę jej twarz. W oczach ma ogromne, nieobjęte zdziwienie.

Rozmawiałem z kobietą, która jadła ziemię. Było to wiosną 1942 roku. Razem z towarzyskami ze swego zakładu pracy pomagała w układaniu w mogiłach zwłok — na Cmentarzu Piskorowski. Wszyscy byli głodni, wszyscy jedli ziemię. Ona najwięcej. Ziemia — mówiła ta kobieta — jest tłusta. Ci, którzy pracowali tam stale, otrzymywali dziennie 100 g wódki, jak żołnierze na froncie.

W Leningradzie w tym czasie nie było ani jednego kota, ani jednego psa. Pierwsze wróble przyleciały tu na wiosnę 1944 roku. Przedtem nie miały co jeść.

W 1945 roku przyjechał pociąg, którego jedynym ładunkiem były koty.

Nikołaj Grigoriewicz Miłosz — jeden z moich rozmówców — opowiadał mi o śmierci swego ojca. Był już starszym człowiekiem, nie mógł pracować, otrzymywał więc minimalną rację żywnościową — 125 g chleba. Kiedy zmarł w grudniu 1941 roku lekarze nie wiedzieli jeszcze, że można umrzeć z głodu. W akcie zejścia napisano: wylew krwi do mózgu.

Iwan Iwanowicz Winogradow, który budował punkty ogniowe w okolicach Kolpino pod Leningradem, opowiedział mi historię rodziny, u której stacjonował. Wymierali po kolei — córka, dwóch synów. Została matka i ojciec. Ojciec umierając mówił do matki: nie chowaj mnie teraz, ziemia twarda. Poczekaj do wiosny, aż odtaje.

Nie wierzyłem we wspólne sny. Ale jednak są takie, skoro ten sam sen opowiadało mi tylu ludzi. Śniło im się, że jedzą chleb, mają się, że jest miękki, pachnącego mięszu. Wszyscy budzili się w tym samym momencie — kiedy przychodziła chwila przekłknięcia chleba.

Ten jeden kawałek rzeczywistego chleba, który można wziąć w rękę, trzeba było rozdzielić na trzy porcje: na śniadanie, obiad i kolację. Ale nikt nie umiał tego zrobić. Wszyscy zjadali chleb od razu. Później już było lepiej. Na wszystkich skwerkach,

ne, nosili naszyte na rękawach znaki — jaskółki. Znaczyło to, że wierzta, iż ich najbliżsi żyją, znaczyło to, że czekają na listy od nich. A listy mogły nadejść tylko jedną drogą — z powietrza — zrzucone z samolotu. Lecząc przelatywały, jeszcze przed długim miesiącem listonosze roznosili listy martwych do martwych. Nie żyli już ani adresat, ani nadawca.

8 KG ŻELAZA
Tatiana Władymirowna Byczagina ma dziś siedemdziesiąt lat. Wtedy, kiedy tamto wszystko się zaczęło, nie pomyślała o tym, żeby wyjechać z Leningradu. To było jej rodzinne miasto, nigdzie indziej nie chciała i nie umiała żyć.

Najgorzej były te marsze: plechota do pracy, przez całe miasto, potem z powrotem. W trzaskającym mrozie, z głodowymi boleściami żołądka. Wciąż czasem zostawała na noc tam, w fabryce. Ale najczęściej wracała do swojego domu, w którym mieszkała do dziś. Ten dom, na Pietrowskiej Stronie, na Braji Wasiliewów — nie jest umieszczony w folderach Leningradu. Wtedy, w jednej klacie schodowej, w wielu mieszkaniach, na pięciu piętrach miesz-



kało dwoje ludzi. Jeśli nie i czyje tego, który tuż za ścianą leżał martwy, zamrożony, prawie dwa tygodnie zanim go znaleźli. Nie licząc tego, o którego się przewróciła w korytarzu, kiedy wracała w noc do domu, a który umarł z głodu. W tej starej, matrej, słowotwej kobiecie jest więcej prawdy o walczącym Leningradzie, niż we wszystkich książkach zebranych razem.

W jednym metrze sześciennym ziemi pobranej z przyczulka zwanego „Nowyjski Piataczok” znajduje się 8 kilogramów żelaza. Odlamków i pocisków.

MAREK WAWRZKIEWICZ

CO W WORKU PISZCZY?

Pan Andrzej Grun pisze bardzo rozwlekłe i dość zawile. Używa za dużo i niepotrzebnie wyszukanych i obcych wyrazów. Trzeba korzystać ze słownictwa bogatego języka polskiego, a nie zanęcać go i nie ubożać przez zastępowanie wyrazów polskich obcymi.

W artykule „Co w worku piszczy?” znalazły się niepotrzebnie takie słowa: konfrontacja (modne i nadużywane w różnych znaczeniach słowo), kontrowersja (chyba można powiedzieć spór czy różnica zdań)? ekspozycja (czy to coś innego niż wystawa?), umysł koncep-

tualny (nie wiem co autor przez to chciał powiedzieć). Muszę też zwrócić uwagę p. Andrzeja Gruna na wyrażenie „na naszych oczach”, które jest zwrotem rosyjskim; po polsku mówi się „w naszych oczach” i to jest logiczne, bo nie na powierzchni oka obraz się odbija, ale wewnątrz.

Przyniósł marginałny utwórzył Andrzej Grun błędnie — należy mówić marginesowy. Podobnie mówi się notesowy, a nie noteralny, skwersowy a nie skweralny itp.

Nie zapominajcie Panowie Dziennikarze, że piszecie nie dla wybranych znających obce języki (zwłaszcza starożytny) i ma-

WOJCIECH GOZDZ (Grotnik)

OD REDAKCJI: A poza tym — mamy nadziej — wszystko w porządku.

LISTY
DO REDAKCJI



„PETER SIMPLE”

Zanim Frederick Marryat napisał w 1834 roku „Peter Simple’a” znacznie wcześniej rozpoczął swoją karierę marynarską. Była to kariera w dosłownym znaczeniu bo zaczął ją jako chłopiec okrętowy, skończył w stopniu komandora. Walka na morzu z flotą Napoleona, później w 1824 r. wojna birmeńska, w trakcie której F. Marryat był dowódcą odpowiedzialnym za całość morskich operacji, dostarczyła mu mnóstwa wrażeń, obserwacji i anegdot z marynarskiego życia. A jednak pierwszą książką Marryata nie był utwór literacki. Praca nosiła tytuł „Kod do sygnalizacji flagowej do użytku na statkach marynarki handlowej”. Książka wydana w roku 1817 okazała się niezwykle użyteczna i przyniosła autorowi poza odznaką Legii Honorowej pokazywały stały dochód. Kto wie, czy ten ostatni fakt nie zaważył na późniejszej, literackiej już działalności F. Marryata. Piszac szybko, dużo i popularnie zdołał wydać 27 pozycji, wśród których „Peter Simple” uważany jest za jego najlepszą książkę.

Cóż to za powieść? Najkrócej — jest to typowy romans awanturyczny, w którym bohater przeżywa najdziwniejsze przygody, głównie zresztą na okoliczności awantury kończą się szczęśliwie, a Peter Simple staje ze swoją wybranką przed ołtarzem jako lord. Powieść ta miała już swoje polskie wydanie w 1962 roku. Była to jednak mocno skrócona wersja dla młodzieży. Wydawnictwo Morskie wznowiając po raz drugi, tym razem już bez skrótów, „Peter Simple’a” zapowiada jednocześnie następną powieść F. Marryata pt. „Statek widmo”. Obie na pewno znajdą swoich odbiorców wśród miłośników przygody i sensacji, tym bardziej, że przygoda ma tu urok zakurzonego antyku.

Frederick Marryat — „Peter Simple”, przekład Marian L. Pi-sarek, Wydawnictwo Morskie — 1973, t. I, str. 359, t. II — str. 347, cena: 45,—zł.

„NEUHOFF, KRÓL”

Kolejną pozycją z przeznaczonych na 1973 rok tytułów Klubu Interesującej Książki, to powieść Johanna Tralowa — „Neuhoff, król”. Autor, syn kupca z Lubeki, urodził się w 1882 roku. Długo przebywał na Bliskim Wschodzie, po powrocie do Niemiec był naczelnym redaktorem pisma, później reżyserem i dyrektorem teatru. Umarł w Berlinie w 1968 roku.

Bohaterem powieści Tralowa jest Teodor Etienne baron von Neuhoff, jeden z największych awanturników wieku XVIII. Mamy więc do czynienia z powieścią nawiązującą do tradycji dawnego romansu przygodowego, potraktowanego jednak przez autora z ironicznym dystansem i głębszą refleksją. Baron von Neuhoff włócił życie pełne przygód, ryzykownych posunięć i odważnych decyzji. Zrezygnował, nie pozabawiony przy tym elegancji i wdzięku uwodzieńcy, polityk w swojej byskotliwej karierze został nawet, na krótko co prawda, królem walczącej o niepodległość Korsyki.

Ojczyzna barona była Europa, toteż razem z nim wędrujemy po wielu królestwach europejskich, bierzemy udział w politycznych intryguach pokazanych od strony kulis, poznajemy życie i obyczaj XVIII-wiecznej Europy.

Swobodna narracja, w której autor łączy różne tradycje literackie, pozwala na śledzenie losów bohatera i kolejne polityczne posunięcia europejskich władców i dyplomatów.

Johannes Tralow — „Neuhoff, król”, przekład Zbigniew Fon-terko, PIW, Warszawa 1973, str. 370, cena: 22,—zł.

„MOTYWY ZACHODNIE”

„Motywy zachodnie” to zbiór felietonów i szkiców Leszka Elektorowicza, publikowanych w prasie literackiej w latach 1968—1972. Jest to zbiór jego podróży po Stanach Zjednoczonych, Anglii i Francji, a tytułowe motywy zachodnie dotyczą różnych dziedzin życia społeczeństwa tych krajów. Głównie jednak uwagę autora pochłaniają problemy życia umysłowego i literackiego, najważniejsze kierunki zachodniej kultury, nowinki publicystyczne i wydawnicze, o których autor daje nie tylko szeroka informację, ale również je komentuje.

Obok takich szkiców jak: „Tajemnice pamietników Byrona”, „Wells — tragedia optymizmu”, „Joyce, komentatorzy i prześladawcy” czy „Hemingwayana” znajdzie tu czytelnik także szkice poświęcone problemom literackim krajów mniejszych, również tych z „Trzeciego świata”. Elektorowicz nie ogranicza się w swoich rozważaniach tylko do spraw czysto literackich. Część jego felietonów poświęcona jest rozważaniom futurologicznym, część zaś, nosząca wspólny tytuł „Z naszych dni”, przedstawia takie problemy współczesnego życia obywatela Zachodu, jak narkomania, hippies, ekstrawaganca mody czy bunt kobiet. Ale i te problemy autor przedstawia zawsze we wzajemnym związku z literaturą.

Leszek Elektorowicz — „Motywy zachodnie”, Wydawnictwo Literackie — 1973, str. 437, cena: 35,—zł.

„PIOTR BRUEGHEL”

„W swej biografii posłużył się Timmermans przede wszystkim dziełami malarza. Czerpiąc z nich, niejako reprodukuje ich wizualność w słowach, napisał tę opowieść. — czytamy na skrzydełku obwoluty do powieści Feliksa Timmermansa. Tytuł, jaki autor nadał swojej książce brzmi po prostu — „Piotr Brueghel”, bo też jest to zbeletryzowana biografia jednego z najwybitniejszych malarzy renesansu. Piotr Brueghel żył we Flandrii około — jak podają historycy sztuki — lat 1530—1569. Zwanego go „Starszym”, lub „Chlopskim” w odróżnieniu od jego synów także malarzy — Piotra Młodszego zwanego Pięknym i Jana zwanego Akasym. Ten twórca podstaw realistycznego malarstwa holenderskiego i flamandzkiego urodził się w małej wiosce nad rzeką Dommel. Chlopskie pochodzenie wywarło niezatarty wpływ na jego malarstwo. Został po sobie spuścizną, która przekazuje obraz życia prostych ludzi, obraca się w świecie kłóć i zebrań, obwiesiów, opojów i flamandzkiej wiesniaków, która także, choćby w „Ślepcach” zawiera posępną i tragiczną metaforę życia ludzkiego.

Piotr Brueghel żył w czasach, kiedy we Flandrii panował Hiszpanie, wyrósł ze środowiska, które na co dzień ocalało o niedzę i głód. Feliks Timmermans, pisząc swoją biografię o genialnym malarzu, musiał więc uwzględnić i to polityczne, i to obyczajowe, musiał także oddać umiłowano ludzi i ziemi, z której Brueghel pochodził i która ukochała.

Opowieść Timmermansa ma wspólny z każdą biografią cel: przybliżyć postać artysty i ułatwić pełniejsze zrozumienie jego twórczości.

Feliks Timmermans — „Piotr Brueghel”, przekład Wanda Kra-gen, Wydawnictwo Literackie — 1973, str. 228, cena: 30,—zł.



Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA (10)

Z pewnością zabawia się ze mną w kotka i myszkę. Zrobiłam wszystko (zważywszy, że nie mogłam tego zobaczyć), co tylko zdołałam zrobić dla niego. Zbyt gorąco tego pragnęłam. A to źle, ponadto czegoś pragnąć, bardzo źle. Zapomniałam wyspać kawy do maszynki. Podałam dziadkowi filiżankę gorącej, słodzonej wody. A on nigdy nie pije wody, ani gorącej, ani żadnej innej, w ogóle nie uznaje wo-ty.

— Oszalałaś? — wybuchnął.
— A co się stało?
— Powachalam, Boże! Zapomniałam wyspać kawy.
— Przepraszam cię dziadku, bardzo przepraszam. Zaparzę ją jeszcze raz.

— Robi się późno. Nie pora na to, żeby parzyć od nowa. Późno? Czy za późno, żeby mnie zabrał do parku? Byłam już ubrana i gotowa. Mój płed i pudełka leżały zapakowane i gotowe. To dziadek mnie zatrzymywał. Zaczęłam płakać.

— Co się stało? — spytał.
— Tak bardzo chciałam pójść do parku — szlochałam.
— Wobec tego, na co czekasz? — wykrzyknął. — Czego marudzisz? Jak chcesz iść do tego pięknego parku, to co robisz tyle szumu, co?

— Wiesz przecież, że nie mogę tego robić co dzień — tłumaczyłam mi w drodze do parku.
— Oczywiście, że nie. Tylko czasem. Teraz i jeszcze kiedyś, dobrze?

— Żadne tam kiedyś. Nie mam nic innego do roboty, tylko oprowadzać cały dzień po mieście ślepa dziewczyną. — Był już wyraźnie w złym humorze.

— Jakis ty dobry, dziadku.
— Cicho bądź. No, jesteśmy. Siadaj. Pospiesz się. Nie usiadłam. Wiedziałam, że nie stoimy pod moim debem. Nie tutaj, dziadku. Tam, gdzie byłam przedtem. Bliżej tamtego miejsca. — Drżałam z obawy. Jestem w parku! W takim ogromnym parku, w innym miejscu, a Gordon nie o tym nie wie.

— Tutaj albo nigdzie — powiedział dziadek.
— Proszę — wyszeptalam.
— Na rany Boga! — wykrzyknął, ale jednak zaprowadził mnie do mego drzewa.

— Nieważne, o której po mnie przyjdiesz — powiedziałam.
— To dobrze. Powodzenia! A co będzie, jak wcale nie przyjdę? To całkiem możliwe.

— Do widzenia. Dziekuje ci, dziadku.
Czulałam za plecami mój kochany pień drzewa. Powietrze było rozkoszniejsze niż kiedykolwiek dotąd. Jestem tu. Za ledwie za cztery godziny... małe cztery godziny... Gordon też tutaj będzie. Nie płacz, Selino, nie płacz ze szczęścia, powtarzałam. Tylko troszeczkę, troszeczeczkę popłakać ze szczęścia! Tak. Choćby troszeczkę. Popłakałam sobie, ale rzeczywiście tylko troszeczkę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Czy wspominałam, że za cztery godziny? Cztery godziny to bardzo niewiele. Nie miałam nawet czasu, żeby rozstawić przed sobą pudełka. Usłyszałam, że Gordon idzie po trawie w moim kierunku. Do mnie. Gwizdał. Zawróciłam mu.

— Och, cóż za cudowny poranek. Och, cóż za cudowny dzień — gwizdał Gordon i Selino.
— Leniuszek! Wykrzyknął Gordon. Usiadł. — Czy to znaczy, że nie słałiasz dotąd tego pięknego dnia?

— Jeszcze nie — zachichotałam. Nie przypominał sobie, że byłam kiedykolwiek przedtem tak się zachowywała — to znaczy chichotała.

— Ha—nieb—ne! Nieprawdopodobne. Ho, ho, ale ty dzisiaj pięknie pachniesz! Czy siedziałas tutaj całą noc, czy też przysłała skoro świt? Musiałaś się chyba dzisiaj rano kąpać w kwiatkach, Miss D'arcy, jest pani zroszona kropkami rosy. Powiedz, czy kąpałaś się rano w kwiatkach?

— Nie — odparłam. — Pokropiłam się wodą kolońską Rose-ann.
Gordon pociągnął nosem.
— Bardzo przyjemna. Czy nie masz własnych perfum? Musisz używać je! Powiedz.

— Mam milion flakonów — powiedziałam — ale jestem nie tylko leniwą, ale także złodziejką.
— Naprawdę?
— Tak.

— Widzę, że w ładnym towarzystwie się obracam — żartował Gordon. — Halo, Selino. Jak się miewasz? Wyglądasz wspaniale.
— I czuję się wspaniale — odparłam.



Potężny samolot kompanii Olimpia Airways, który dopiero co przyleciał z Aten, przez Rzym i Paryż, podszedł do lądowania i po chwili toczył się gładko po płycie portu lotniczego Kennedy, opodal Nowego Jorku. Po sprawdzeniu dokumentów tłum pasażerów ruszył do komory celnej, witając gestami i uśmiechami krewnych i znajomych, oczekujących za ogromną szklaną ścianą. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki w podniszczonym szarym garniturze, niewysoki, mocno zbudowany. Spokojnie otworzył walizę przed celnikiem. Nie było w niej nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. A jednak... w jego zachowaniu było coś dziwnego, jakiegoś ledwie uchwytnego napięcia. Kierując się intuicją, celnik dokonał rewizji osobistej. Pod ubraniem pasażera znalazłono trzy plastikowe woreczki, przyklejone do ciała lewkołpastem. W każdym z nich znajdowało się po kilogramie czystej heroiny...

Kilka minut później na lotnisku byli już dwaj specjaliści agencji służby celnej USA: Albert Sully, były detektyw policji i Edward Coyne, który do niedawna pracował w Federalnym Biurze do Walki z Narkotykami. I tak, owego parnego wieczoru 6 maja 1968 roku, rozpoczęło się śledztwo. Do godziny 22 zakończono formalności związane z arestowaniem przemytnika, wykonano zdjęcia i wzięto odciski palców. Nieco później, w biurze administracji celnej na Manhattanie, przystąpiono do przesłuchania tajemniczego pasażera. Utrzymał go w tym celu André Ponté. Spoglądając ponuro, wycierał papierową serwetką łus z palców, pozostały po zdjęciu odcisków.

— Niech pan spyta Ponté, gdzie otrzymał paszport — zwrócił się do tłumacza inspektora Sully.

— On mówi, że paszport wyczerpnął mu jakiś mężczyzna w Buenos Aires i że na tej

— Wyglądasz dzisiaj zbyt wspaniale, żeby nawlekać kowale. Nie jesteś już do tego stworzona.
— Naturalnie! — i znów zachichotałam.
— Ja będę nawlekać, a ty będziesz mi opowiadać.
— Och, nie... — zaczęłam.
— Śmiesz mi się sprzeciwiać?
— Proszę cię, Gordonie.
— Proszę cię... o co prosisz?
— Zawsze nawlekam koraliki. Robię to od ośmiu lat. Co dzień przez osiem lat. Dziwnie się będę czuła...
— Czy chcesz przez to powiedzieć — Gordon zaczerpnął głęboko oddech — chcesz powiedzieć, że wykonujesz tę głupią robotę przez osiem lat? — Był wyraźnie zły.

— Tak, oczywiście.
— Selino, czy czytasz Braille'em? Czy nie uczono cię tych wspaniałych, mądrych i pożytecznych prac, jakie w dzisiejszych czasach wykonują ociemniały? Powiedz.
Zawstydzili się. Naprawdę było mi smutno i zarazem wstyd.

— Niczego mnie nie uczono.
— To wprost niemiarygodne.
— Ja tak nie uważam.
— Trudno wprost w to uwierzyć. Selino, potrzebny ci jest opiekun.

— Naprawdę, Gordonie?
— Oczywiście.
— Chciałabym mieć opiekuna.
Gdyśmy tak rozmawiali, on cały czas był zajęty nawlekaniami. Słyszałam, jak to robi. Z początku ciężko mi było wysiedzieć bezczynnie. Zaciskałam dłonie.

— Masz — powiedział Gordon — zabawiaj się tym. — Podał mi jakiś twardy przedmiot. Twardy i kwadratowy.
— Co to jest? — spytałam.
— Ołwórz. Podnieś tylko wieczko.
— To jakieś drewniane pudełko.

— Tak.
Zaczęłam nieporadnie przy nim manipulować. Dotknęłam palcami metalowego zamocowania. Wieczko odskoczyło i z pudełka, które trzymałam w rękach, wydołała się czysta i pełna słodczy melodia. Melodia była zupełnie nieznaną, a jednak słodczy melodia. Melodia była bardzo stara. Jej brzmienie było cichutkie i słabe, nieomal że zamierające. Zastanawiałam się, jak długo trzymano ją zamkniętą w tym małym kwadratowym pudełku, pachnącym starością. Smutna, delikatna woń. Jak długo?

— Il pleut, il pleut, bergère — zaśpiewał Gordon swoim najbardziej głębokim, miękim głosem.
Melodia na moment ucichła. Czyżby się skończyła? Miałam nadzieję, że nie. Wyobraziłam ją sobie jako uroczą starszą panią. Chociaż nie znałam żadnej uroczej starszej pani, jednak wyobraziłam ją sobie. Wydawała się bardzo zmeżoną, żeby uczynić choćby jeden jeszcze krok! Była taka miła i dzielną... Tymczasem melodia płynęła dalej, a potem jednak skończyła się. Zamknęłam wieczko. Nigdy jeszcze chyba nie byłam taka smutna a jednocześnie szczęśliwa. Nie potrafię już unieść po raz drugi tego wieczka i sprawić, żeby znów zabrzmiała ta smutna, zmeżona pieśń. Pokochałam ją i przagnęłam się nią opiekować.

— Czy to pozytywka, Gordonie? — spytałam.
— Tak.
— Twoja?
— Nie. — Chwilę milczał, potem powiedział: — Należy do ciebie, Selino.

Znów daje mi prezent. Ale tego nie wezmę do domu. Pomyslałam o Rose-ann i Sadie.
— Dziękuję ci, Gordonie. Kocham ją.
— Uważam, że powinnaś. Została ofiarowana dawno temu komuś z mojej rodziny. Podał ją mężczyzna swojej ukochanej.

— Czy pobrali się i żyli szczęśliwie aż do śmierci? — spytałam.
— Nie — odparł Gordon, ale nie podobał mi się ton jego głosu. Był jakiś nieprzyjemny i pełen gorczy, jakby go bolał żab.

— Och, a to czemu? — szepnęłam.
— Czemu? — Głos Gordona już nie był taki olerpławy. Przywołał na myśl raczej zimną wodę i chłodny poranek.
— Tak, Czemu?
— To było dawno temu. Bardzo dawno. Słyszałam o tym od mojej matki. On, to znaczy kochanek mojej prarababki, pochodził z całkiem innego świata. Świata bogactwa, kultury.

— A ona?
I znów głos Gordona taki, jakby cierał na ból zębów. Wiedziałam z własnego doświadczenia, że coś go na pewno bolało.

— Ona była... — ponownie zamilkł. Potem powiedział: — Była tylko piękną kobietą. Niczym więcej. Była po prostu n—c—z—y—m. — Zaczął rażną gwizdać. Pragnęłam usłyszeć coś więcej o jego prarababce.

— Powiesz mi coś więcej o niej?
— Wiecej? Nie wiem nic więcej.
— Wiecej? — błagałam. Przytuliłam do policzka moją pozytywkę. Rose-ann często mi mówiła, że jestem nieczym. „Jesteś nieczym, ale to n—c—z—y—m”. Rose-ann powtarzała to stale, odkąd tylko pamiętam. Ona także była nieczym. Tak samo jak ja.

(Dalszy ciąg nastąpi)

podróży miał zarobić trzy tysiące dolarów.
— Co to za mężczyzna?
— Przesłuchiwany mówi, że nie wie. Jakis Francuz, ten sam, który powiedział mi, jak otrzymać wizę turystyczną w ambasadzie amerykańskiej i gdzie ma odebrać narkotyki, jak wylądować w Rzymie.

— Oni wszyscy są Francuzami — cierpko zauważył Sully. — Niech pan go spyta, co robi ten Francuz w Buenos Aires?

Aresztowany nie wiedział. Ale wyjaśnił, że w Argentynie przebywa dużo Francuzów, głównie tych, którzy współpracowali z nazistami podczas wojny. Są tam również koryfarscy bandyci. Słyszał, że ci ludzie często bywają w restauracji na przedmieściu Vicente Lopez, której właścicielem jest jakiś Francuz.

— Jak nazywa się ta restauracja?
— On nie wie.
— Oczywiście — mrknął Sully. — Musimy sprawdzić jego odciski palców w kartotece Interpolu.

Światło, kiedy specjalni agenci urzędu do walki z podziemnym handlem narkotykami zakończyli wstępne przesłuchanie i wsiedli do samochodu, Coyne siedział za

kierownicą, Sully rozmyślał na głos:
— Już od kilku lat, rok po roku, zatrzymujemy kurierów z narkotykami francuskiego pochodzenia. A teraz wpadł znów ten facet z Argentyny, który twierdzi, że jest powiązany z działającą tam francuską grupą przestępców. Kurier na jeden kurs? Nie! To wszystko jest doskonale przemyślane.

Odpowiedź z Interpolu nadeszła tego samego dnia. Wykazała, że aresztowany nazywa się André Lucarotti, jest koryfarskim gangsterem i trzy lata temu uciekł z francuskiego więzienia, torując sobie drogę kulami z pistoletu. Następnie przedostał się do Buenos Aires, gdzie przygarnęła go „kolumbia” uciekinierów z Francji.

— Już gdzieś spotkaliśmy się z tym nazwiskiem — zauważył Coyne.

Szperając w archiwach policyjnych agencji odnaleźli teczkę z napisem: „Lucarotti Nonce”. Były w niej materiały ze śledztwa, prowadzonego w 1965 roku w sprawie próby przemycenia z zachodniej Europy do USA dwustu funtów heroiny, ukrytej w ledówce. Nonce Lucarotti, obywatel francuski,



MUZYKA

W ubiegłym tygodniu powrócił z Jugosławii zespół Teatru Wielkiego w Łodzi

Gdyby przyszło Panu zliczyć wszystkie wyjazdy zagraniczne Teatru — pytam dyrektora Stanisława Piotrowskiego — to jaką musiałby Pan wymienić liczbę? — To jest ósmy wyjazd zagraniczny Teatru w ciągu sześciu sezonów. Na pewno jest to już pewien dorobek.

gruntowanej marce, związaną z dużą ilością turystów z całego świata, podkreślił mi się — tak mi się wydaje — rangę artystyczną całego wyjazdu. A — jeśli można dodać — tradycje obydwu imprez są kolosalne; Festiwal w Lublaniu na przykład odbył się już po raz dwudziesty pierwszy.

— Prezentowaliście tam państwo „Halke” i „Fausta”. Które przedstawienie podobało się bardziej?

— Obydwa przedstawienia zostały przyjęte przez publiczność życzliwie, gorąco, oklaskom nie było końca. A kiedy dostaniemy prasę, wówczas będziemy mogli sprawdzić, jak ocenili nas fachowcy.

— Myślę, że większą frekwencję — ze zrozumiałych względów — zapewnił nam „Faust”. Jest to przecież pozycja z klasyki operowej, pozycja znana, podczas gdy ciągle jeszcze za mało eksponujemy Moniuszkę. A przecież powinniśmy być tak znani w świecie, jak na przykład czeski kompozytor. Stąd pytanie: „a co to jest Halka, a kto to jest Moniuszko?”

— Nie sądzi Pan, że Czesi

poza tymi budynkami odbywał się normalny ruch uliczny. W związku z tym poprosiliśmy organizatorów o ogłoszenie rynku — prosba została spełniona — i co się okazało? W czasie przedstawienia zaczął wiać dość silny wiatr. Dalo to nieoczekiwane efekty akustyczne. Niektórzy próbowali wytłumaczyć to wtrąceniem się w akcję Mefista. Tym niemniej, śpiewanie „pod wiatr” zapamiętał zespół dobrze.

— Ten drobny przykład świadczy o trudnościach organizacyjnych.

— Jechaliśmy pociągiem specjalnym, miejscowi organizatorzy dołożyli wszelkich starań, aby warunki pobytu i występów były maksymalnie dobre. Upałom jednak nie mogli przeciwdziałać. Stąd, podziwialiśmy nasze zespoły techniczne, przygotowujące spektakle nie tylko „w samo południe”, ale i w nocy. Upał był wtedy mniejszy, lecz z kolei praca trwała przez trzy noce pod rząd.

— Można z tego sądzić, że jest Pan zadowolony z wyjazdu.

— Owszem. — W Lublaniu odbyły się także nagrania dla Radia i Telewizji?

— Telewizja, na podstawie porozumienia z organizatorami i oczywiście za naszą zgodą, zastrzegła sobie prawo transmisji „Halki”. Rzecz jasna, był to specjalny spektakl bez publiczności, jako że Telewizja wymaga takiego oświetlenia, które kłóci się z interesami widzów.

— A radio?

— Radio Zagrzeb nagrało w całości „Halke”.

— Wyjazd, o którym mówimy, nie był pierwszy w sezonie i nie ostatni w tym roku.

— W sezonie to był nasz wyjazd drugi. Byliśmy w jesienu w NRF. Jeśli chodzi o rok, to prawdopodobnie pokazemy jeszcze „Halke” w Lipsku. Trwają również rozmowy na temat naszego wyjazdu do „Folksoper” w Wiedniu; decyzja zapadnie nie później niż we wrześniu. Chcemy także zacieśnić kontakty z Operą w Brnie. Mają oni znakomite warunki sceniczne — a jak wiadomo, aby się moc pokazać, trzeba takie warunki mieć. Stąd nasze zainteresowanie Brnem.

— A zatem serdeczne życzenia dla zespołu Teatru, aby wszystkie wyjazdy doszły do skutku.

— Dziękuję bardzo, ale przede wszystkim musimy teraz zacząć sezon u nas. Kończymy nasz obecny sezon 21 lipca, a pierwsze przedstawienie sezonu 7-go września. Zaprządam serdecznie Łódźką publiczność, miło mi będzie spotkać w Teatrze Panią Redaktor.

Rozmawiała: MARIA HOFFMAN

„GRUBY” I INNI

WOJCIECH FIWEK — reżyser filmowy, związany od lat z Wytwornią Filmów Oświatowych, może pochwalić się bogatym dorobkiem twórczym i wieloma nagrodami za twórczość filmową. Dotychczas nakręcił 43 filmów, w tym 33 filmy młodzieżowe i dziecięce. Debiutował jako reżyser filmowy w roku 1960. Nakręcił wiele filmów oświatowych, dokumentalnych, a także filmy fabularne o dzieciach i dla dzieci. Jego filmy były nagradzane na festiwalach. Otrzymał nagrody w Moskwie, Teheran i e, Del la Plata i Gottwaldowie. A także w Polsce, a więc: „Brazowe Koziolki” za filmy „Okularnik”, „Ewa plus Ewa”, „To moja wina”. Drugą nagrodę jury dziecięcego za film „Na szlaku”. Ostatnio zaś na Festiwalu Filmów dla Dzieci i Młodzieży w Poznaniu Wojciech Fiwek otrzymał nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania za serial filmowy „Gruby”. Specjalne jury dziecięce przyznało mu za „Grubego” wyróżnienie, natomiast „Gruby” — Mariusz Kozłowski z Łodzi, został uznany za najsympatyczniejszą postać ekranową.

— Jakże są dalsze Pańskie plany twórcze? pytam Wojciecha Fiweka.

— Przygotowuję filmową opowieść w siedmiu odcinkach pt. „Siedem stron świata”. Miejscem akcji jest Łódź. Scisłej — jedno z nowych osiedli w mieście. Będzie to film przygodowy. Chcemy tu pokazać, wspólnie z Konradem Frejdlichem, który jest współautorem scenariusza, pewne procesy społeczne, zachodzące właśnie w nowym osiedlu.

— Jak to rozumieć?

— Moim zdaniem w nowych, budujących się obecnie osiedlach procesy integracji zaczynają się od dzieci. Właśnie nasi najmłodsi obywatele stwarzają warunki, w których zaczyna się rodzić wspólnota ludzka, solidarność sąsiedzka, chęć przychodzenia innym z pomocą. Chcemy pokazać w tym serialu dla TV, jak to się dokonuje, lecz cel dydaktyczny osiągnąć można tylko poprzez interesującą przygodę, wartką narrację filmową. Wielokrotne rozmowy z młodymi widzami pozwoliły mi wyrobić pogląd na sprawy percepcji filmu.

— Czy nie sądzi Pan, że film dla dzieci czy młodzieży służyć może ograniczeniu, narzuca twórcy pewne, co tu ukrywać, schematy?

— Jest to — moim zdaniem — pogląd niesłuszny. Trzymanie się bowiem określonych schematów spowodowałoby właśnie zmniejszenie zainteresowania filmem. Podobnie, jak w filmach dla dorosłych, tak i tu trzeba sięgnąć do nowatorskich środków, eksperymentować, z tym jednak zastrzeżeniem, że w filmie dla dzieci nie można pozwalać sobie na dowolność, z jakimi stykamy się niekiedy w filmach dla dorosłych.

— Czym humacysty Pan fakt, że wielu dorosłych chętnie ogląda filmy młodzieżowe?

— Być może, przyczyn tego należy doszukiwać się właśnie w dynamice filmu dla

dzieci. Sądzę, że jest to sposób na „odmładzanie się” — myślę tu o pewnych procesach psychologicznych. Wiadomo przecież, jak chętnie ludzie dorosli wracają we wspomnieniach do dni dzieciństwa. Znajduje to zresztą wyraz choćby w twórczości wielu pisarzy.

— Jaki był Pana pierwszy film dla młodzieży?

— Nosił tytuł „Na harcercskim biwaku”.

— Zaczynał Pan od krótkometrażówek, ale pasjonuje Pana film aktorski — nie tylko o dzieciach, lecz także dla dzieci. Czy jest to świadomie wybrana droga do filmów dla dorosłych?

— Myślałem i myślę o takim filmie. Nie mogę zabrać się do tego, gdyż stale nam powtarzają, że dzieci czekają przy telewizorach na filmy dla nich.

— Czy to znaczy, że w Polsce produkuje się zbyt mało filmów dziecięcych i młodzieżowych?

— Chyba tak, choć wśród krajów socjalistycznych jesteśmy po ZSRR obok CSSR drugim potentatem w dziedzinie produkcji tego rodzaju filmów. Jednakże zapotrzebowanie na nie jest ogromne i to nie tylko u nas, a także na całym świecie.

— Czy nie sądzi Pan, że należałoby dla tej rozwijającej się u nas twórczości filmowej znaleźć lepsze formy organizacyjne?

— Jestem członkiem Komisji Filmów dla Dzieci i Młodzieży przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich. Marzymy od dawna o stworzeniu zespołu filmowego, który by się specjalizował w produkcji tego rodzaju filmów. Uważam, że byłoby to niewątpliwie pożyteczne. W zespole takim można by skupić obok filmowców również pedagogów, psychologów, socjologów, specjalizujących się w tej dziedzinie pisarzy.

— Ma Pan kontakty z widzami? Prowadzi Pan badania, które pozwoliłyby odpo-



Fot. N. Komorowski

wiedzieć — jakich filmów oczekuje młoda widownia?

— Z pomocą przychodzi nam telewizja. Redakcja Audycji dla Dziewcząt i Chłopców przekazuje nam setki i tysiące listów od widzów, którzy oglądają nasze filmy. Z listów dowiadujemy się, że młodzi ludzie chcieliby oglądać filmy współczesne, o sobie, o własnym życiu.

Jednocześnie daje się zauważyć, że czekają oni na filmy, które stanowiłyby niejako wzorce dla ich zachowania się. Odczuwa się też tęsknoty za filmem, który by prezentował młodzieży jakieś autorytety, czy bohaterów godnych naśladowania. Młody widz czeka również na filmy, ukazujące z całą subtelnością procesy dojrzewania. Miałem wiele satysfakcji, gdy nadeszła do mnie masa listów po filmie „Romek i Anka”, w którym starałem się ukazać narodziny pierwszego młodzieńczego uczucia. Był to jeden z najbardziej pracochłonnych filmów, gdyż starałem się wydobyc wszelakie subtelności rodzącego się uczucia, nie mogłem zaś opowiedzieć zbyt wyraźnymi aluzjami, by nie zwulgaryzować problemów.

— Współpraca z młodzieżą, która gra w Pana filmach, jest niezwykle trudna. Jak Pan postępuje z nimi?

— To skomplikowane. Jestem zafascynowany dziećmi. Ale mam też sporo doświadczeń, zebranych w ciągu wielu lat współpracy z młodocianym aktorem i to daje mi pewną swobodę działania. Oczywiście współpraca z młodym i całkiem „surowym” aktorem jest ciężka, ale też i satysfakcją ogromną, gdy dziecko, które stało się aktorem, pojmie doskonale idee dzieła, gdy dobrze wywiązuje się z postawionego mu zadania. Praca z młodzieżą rozkłada się, gdy dziecko może obejrzeć siebie na ekranie, choćby w epizodach.

— Czy praca z dziećmi w filmie nie nastęca trudności wychowawczych?

— Oczywiście istnieją takie trudności i to już od chwili wyboru „aktora”. Trzeba go stale uczyć. Nie wolno przy tym zapominać, że dziecko, które gra w filmie, to także uczennica czy uczeń szkoły. Trzeba więc dbać i o to, by udział dziecka w realizacji filmu nie nastęcał różniel rodzicom, czy pedagogom trudności.

Rozmawiał: JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

PODRÓŻ ZA 100 DOLARÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

wiedzieć! Wprowadzono go w błąd. Żąda, żeby zawrócić i zawieźć go na stację kolejową. Atmosfera staje się nieprzyjemna.

Podjeżdżamy wreszcie pod tę stację kolejową i wraz z panem w muszce wysiadamy. Oddychamy z ulgą. Poczekalnia. Mój szarmancki i wspaniale tańczący towarzyszył podróżny podchodzi do kasy i po rozmowie z czafnym kasjerem wraca uszczę-

śliwony. Okazuje się, że dzięki temu, że przybliżyliśmy do tej stacji, zaoszczędził 40 penów.

Dojeżdżamy do stacji Earls Court. Żegnamy „pana” bez podania ręki. Zostaję sam. Czekam na kolejkę. Wraca niepokój. Na „Batorym” rozpieszczano nas. Dobre wygodne spanie, jedzenia w bród, a do tego muzyka po obiedzie i przy kolacji, kino, dancinigi, no i dwa barki, gdzie można było wypić za złotówki i nie czuć z tego powodu skrępowania w obe-

ności pasażerów dewizowych.

West Kensington. Wysiadam.

A później chodzę po uliczkach. Jestem na przedmieściu, w zachodniej części Londynu, gdzie domy są niewysokie, względny spokój i wszystko wokół w granicach tego, co można zobaczyć u nas w kraju. Na kwadrans przed piątą wsiadam do kolejki podziemnej.

K. czeka już na mnie. Poznając go od razu, nie zmienił się zupełnie. Wstępujemy do pubu — jest to charakterystyczny dla Anglii lokalik, otwarty w porze lunchu i wieczorem, gdzie można wypić piwo i whisky oraz zjeść sandwicha czy jakieś danie gorące. Siadamy przy barku i pijemy piwo. Za barkiem urzęduje Włoch.

K. ma dla mnie pokój po 80 penów na dobę. To mi odpowiada. K. idzie do biura. Włóczę się więc po mieście, w pobliżu miejsca, w którym mam się spotkać z K. Dalej się nie zapuszczam,

boję się zgubić. Mnóstwo tu restauracyjek, sklepów, klubów, kin, teatrów i music-halli oraz lokalików, gdzie odbywa się strip-tease lub bogatszy od niego żywy program porno.

Do domu wracamy około pierwszej w nocy.

Wybrałem się autobusem do Chelsea — dzielnicy artystów i snobów. Wybrałem się tam z Małgosią, znajomą z kraju, która przebywała w Londynie od roku i ma zamiar pozostać dłużej, bo została przyjęta do tutejszej Akademii Sztuk Pięknych. Główne ulice Chelsea — Kings Road i Fulham Road nie są tak zatłoczone samochodami jak ulice w śródmieściu, a już na przyległych do nich uliczkach zupełny spokój. Pełno tu lokalików, tyle że są przytulniejsze, bardziej kameralne. Oglądamy kilka galerijek malarzkich i magazyn z antykami. Większość przechodniów to młodzi. Stroje dowolne, swobodne, wcale nie krzykliwe. Dziewczęta nie malują się, a jeśli już to mają

kach i palę papierosa. Obok mnie wiele barwnych postaci o wyglądzie hippisów. Jeden z nich prosi o papierosa. Czuję się go „Klubowym”. Jest jakby rozczarowany. Czyżby spodziewał się czego innego?

Wybrałem się autobusem do Chelsea — dzielnicy artystów i snobów. Wybrałem się tam z Małgosią, znajomą z kraju, która przebywała w Londynie od roku i ma zamiar pozostać dłużej, bo została przyjęta do tutejszej Akademii Sztuk Pięknych.

Główne ulice Chelsea — Kings Road i Fulham Road nie są tak zatłoczone samochodami jak ulice w śródmieściu, a już na przyległych do nich uliczkach zupełny spokój. Pełno tu lokalików, tyle że są przytulniejsze, bardziej kameralne. Oglądamy kilka galerijek malarzkich i magazyn z antykami. Większość przechodniów to młodzi. Stroje dowolne, swobodne, wcale nie krzykliwe. Dziewczęta nie malują się, a jeśli już to mają

makiąż bardzo dyskretny. Są smukłe, bardzo zgrabne. Zwłaszcza mulatki i murzynki. Pod ubraniem nie noszą bielizny.

Życie w Chelsea toczy się w wolnym tempie, jego mieszkańcy rzadko jeżdżą do śródmieścia. Ono ich meczy. Cieszą się, że w niedługim czasie ruch samochodowy w Londynie zostanie ograniczony, a może nawet zlikwidowany. Po mieście kursować będą tylko autobusy.

Wieczorem oglądam musical „Jezus Chrystus Superstar”. Nie zachwycał mnie zbytnio. Podobała mi się scenografia, w której podłoga sceniczna odgrywała bardzo ważną rolę — podświetlona od dołu dawała wspaniałe efekty kolorystyczne i stwarzała nastrój dla widowiska. Rzec o Chrystusie i Judaszu zrealizowana na kanwie muzyki bitowej. Trochę wzniosłości, trochę humoru — w sumie, nie szokującego. Reakcja widowni — nie było kompletnie — daleka od entuzjazmu.

Sezon urlopowy nie sprzyja sportowym emocjom kibiców. Cóż znaczy niepokój o zwycięstwo ukończanej drużyny w najbliższym meczu wobec problemu — jak dostać miejscówkę w pociągu zdążającym nad morze lub w góry? Scisk przy wejściu na stadion jest niczym w porównaniu z tłokiem panującym przy wejściu do kolejowego wagonu. A i później leniwa atmosfera państwowych i prywatnych turnusów wczasowych nie sprzyja trosce kibica o wyniki, rekordy i zwycięstwa.

Prawdę mówiąc, to i sami sportowcy niewiele robią, żeby kibice na urlopie przypomnieli sobie, że jest kibicem. Nie dochodzą nas elektryzujące wleści ze stadionów i hal sportowych, w każdym razie nie polskich. Dla wielu dyscyplin sportowych lato nie jest okresem treningów i obozów szkoleniowych. Latem stawia się efekty wcześniejszych przygotowań. Padają rekordy. Dwie biegaczki z NRD pobity ostatnio trzy rekordy świata. A u nas?

grzysk Olimpijskich w Montrealu dzieła nas jeszcze trzy lata, ale ma rację Tomaszewski sygnalizując już teraz to niepokojące, w porównaniu z zawodnikami innych krajów, stanie w miejscu naszych sportowców.

Zeby więc nie zakłócać urlopowego spokoju kibiców, a jednocześnie przypomnieć komu trzeba, że trzy lata to nie jest tak dużo, proponuję temat olimpijski, ale widziany od innej strony. Niedawno zakończyły się obrady XIII sesji Między-

żną przenikać na (...) stadion, aby służyć tam pielęgnowaniu kultu honoru i bezinteresowności, który w parze z dziełem rozwoju społecznego umożliwił atletyce prowadzenie dzieła rozwoju moralnego i społecznego pokoleń.

Uczestnicy XIII sesji MAOI, reprezentujący cztery kontynenty, doszli w dyskusji do wniosku, że to, co stanowi podstawę igrzysk — idea olimpijska — zostało niejako na plan dalszy, zostało przysłonięte przez same igrzyska. Mówi o potrzebie reformy przepisów w amatorstwie, gigantyzmie igrzysk, o niepokojących objawach komercjalizacji, szowinizmu i nacjonalizmu sportowego wskazał, jak daleko odeszliśmy od idei, która miała być kontynuacją starożytnego ducha olimpijskiego.

Tematowi olimpijskiemu poświęcona jest również książka, którą chciałabym zaproponować jako wakacyjną lekturę wszystkim ki-

flency zarys olimpiizmu. Nie wdając się w spór o nazwę, trzeba uznać ogrom pracy, jaki włożył autor w przygotowanie tej publikacji. Przedstawione przez Grzegorza Młodzikowskiego wydarzenia zawarte są w okresie 78 lat. Pierwsza data to 23 czerwiec 1894 roku, kiedy to w Paryżu obradował konstytucyjny kongres olimpijski, ostatnia — sierpień roku 1972, data 73 sesji Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego i Igrzysk XX Olimpiady w Monachium. Nie znajdziemy w książce Młodzikowskiego zestawień wyników, rekordów, nie znajdziemy opisów zmagania sportowców w poszczególnych konkurencjach. Autor zajął się konfrontacją idei i rzeczywistości ruchu olimpijskiego w czasach nowożytnych. Przedstawia mechanizm pracy organizacyjnej, poprzedzający każde kolejne igrzyska, a także dokonywanej w trakcie ich trwania. Okazuje się, że omówienie na przykład sesji MKOI lub opis igrzysk od strony organizacyjnej może być lekturą równie interesującą, jak sprawozdanie z samych zawodów.

Mogę zapewnić, że każdy kibic znajdzie w tej książce coś interesującego dla siebie i że będzie to lektura i pożyteczna, i pasjonująca. Kto na przykład wie, że podczas igrzysk pierwszej Olimpiady w Atenach w 1896 roku do biegu maratońskiego zgłoszono również dziewczynę. Wbrew opinii publicznej nie została ona dopuszczona do startu, ale przyjaciele zorganizowali jej odrębny bieg na trasie maratońskiej, którą pokonała w imponującej formie w cztery i pół godziny.

Ciekawostką jej również to, że naruszenie zasad amatorstwa — ustanowionych na kongresie paryskim — zaczęło się już dwa lata później na pierwszej olimpiadzie. Zwycięzca biegu maratońskiego, Grek Spiros Luis otrzymał między innymi od jednego z widzów wóz z zaprzęgiem, aby nie musiał pieszo wracać do domu. Od ambasadora Rosji w Atenach kosztowny serwis, od innego z widzów 20 tys. drachm, a także prawo do bezpłatnych usług u krawców, fryzjerów i restauratorów. Sam król Grecji zresztą obiecał spełnić każde jego życzenie. Spiros Luis poprosił tylko o zwolnienie z więzienia swojego przyjaciela, odsiadującego karę za zaległe podatki. Król spełnił tę prośbę.

Wydaje mi się, że wystarczy tych przekładów, aby udowodnić, że książka Grzegorza Młodzikowskiego jest znakomitą lekturą na urlopie. Sama się zresztą o tym przekonałam.

BOGDA MADEJ



Dalszy ciąg ze str. 5

został skazany za udział w tym przestępstwie.

— Nasz podopieczny zataił podczas przesłuchania, że ma brata — powiedział Sully. — Zażądam przeprowadzenia analizy neutronowej wszystkich partii narkotyków, skonfiskowanych w USA w ciągu ostatnich trzech lat. Trzeba stwierdzić, czy wśród nich nie znajduje się przypadkiem narkotyk o identycznym składzie chemicznym, jak ten, który przechwyciliśmy wczoraj. Musimy się też połączyć z Waszyngtonem, bo coś mi się zdaje, że jest to tylko jedno ognisko dawnej sprawy.

Coyne przyjął koncepcję Sullygo za zupełnie prawdopodobną.

W Waszyngtonie nie podzielili zdania inspektora Sully. Urzednicy celni i agenci do walki z handlem narkotykami uważali, że największe niebezpieczeństwo grozi z zachodniej Europy, gdzie korsykański świat przestępczy kontroluje laboratorium, produkujące heroinę w rejonie Marsylii. Nie wykluczone, że Lucarotti został zwerbowany w Buenos Aires, ale nie nie wskazuje na to, żeby zachodnioeuropejskie syndykaty przestępców przeniosły swą bazę w inne miejsce. W 1967 roku myśli, że w Argentynie działa organizacja handlu narkotykami okazała się pozbawiona podstaw.

Jednakże Waszyngton był w błędzie. Sprawa zaczęła się dwadzieścia lat temu, 8 grudnia 1947 roku, kiedy to do Buenos Aires zawiązał z Hiszpanii statek „Gwiazda Argentyny”. Większość jego pasażerów stanowili imigranci, którzy stanęli o rozprawienie nowego życia z dala od spustoszonej Europy. Jeden z pasażerów wyróżnił się szczególnie. Był to niewysoki mężczyzna o rozbieganym spojrzeniu, małomówny i dziwnie ruchliwy. Dane w jego karcie imigracyjnej były nader skąpe: imię i nazwisko — Lucien Dargelle, wiek — 42 lata, stan cywilny — kawaler, zawód — artysta, narodowość — Francuz.

Dargelle znikł w Buenos Aires, jak wirus, niewidoczny, ale śmiercionośny. Nie słyszano o nim przez dziesięć lat. Dopiero w 1957 roku policja argentyńska ustaliła, że pod nazwiskiem „Dargelle” ukrywał się niejaki Julio Rodriguez. Była to jednak zaledwie znikomą część prawdy, bo w rzeczywistości pod tymi zmyślnymi nazwiskami, i jeszcze pod dziesiątkami innych, ukrywał się boss potężnej międzynaro-

dowej organizacji przestępców, eksploatujących sieć domów publicznych w krajach Ameryki Łacińskiej.

Rząd argentyński postanowił polożyć kres działalności syndykatu. W wyniku szeregu akcji policyjnych w całym kraju, aresztowano kilkunastu groźnych przestępców. Wśród nich znalazł się także Dargelle vel Rodriguez. Niektórzy zostali skazani na więzienie, innych wydalono z kraju. A Dargelle vel Rodriguez wy-puszczono na wolność z braku dowodów winy. Sztab syndykatu ukrył się w podziemiu, kontrabanda i handel białymi niewolnicami przeniosły się do sąsiednich krajów.

W czerwcu 1967 roku sześciu bossów podziemnego świata Ameryki Południowej zebrało się w niewielkiej restauracyjce na jednym z przedmieść Buenos Aires. Mężczyzna zasiadający na honorowym miejscu był dobrze znany wszystkim obecny, choć czas moeno przerzedził mu włosy. Julio Rodriguez, do którego zwracano się teraz z szacunkiem: André, zwołał to zebranie, by zaznajomić obecnych z planem, który przyniesie im miliony. Chodziło o stworzenie wielkiego syndykatu handlu narkotykami, prawdziwego królestwa heroiny.

André oznajmił, że w ubiegłym roku osiągnął celne porozumienie z grupą dostawców ze Szwajcarii, którzy produkują w Zachodniej Europie heroinę w trzech ruchomych laboratoriach. Zainstalowane na samolotach ciężarowych, mogą wytwarzać około 300 kilogramów heroiny tygodniowo. A każdy kilogram przynosi 20 tysięcy dolarów dochodu. Do pracy w charakterze kurierów zwerbując André przytułki i stręczycieli — znanych mu z poprzedniej „pracy”. Otrzymując za każdy kurs po trzy tysiące dolarów plus zwrot kosztów podróży, kurierzy będą łatali najpierw do Zachodniej Europy, gdzie otrzymają heroinę w zakuspirowanych punktach handlu narkotykami, rozmieszczonych w Hiszpanii, Włoszech, Zachodnich Niemczech i Francji. Narkotyki ukurja pod ubraniami. Każdy krok kuriera w czasie całej jego podróży będzie obserwowany przedstawiciel syndykatu.

Po przybyciu do wyznaczonego punktu w Stanach Zjednoczonych, kontroler przedmie-heroinę i kuriera, towar przekazany odbiorem, a otrzymane pieniądze przeleje na zaszyfrowane konto w jednym z banków szwajcarskich. Kurierzy będą latać samolotami pasażerskimi dwiema trasami: bezpośrednio — z Zachodniej Europy do Montrealu i dalej do Nowego Jorku oraz okrężną — przez Amerykę Łacińską. Druga trasa jest oczywiście dłuższa — wyjaśnił André — ale za to zupełnie nie kontrolowana przez agentów amerykańskich.

Plan przyjęto, precyzyjnie skonstruowany mechanizm zaczął działać.

J. CZECH

KIBIC NA URLOPIE



A u nas Bohdan Tomaszewski, w jednym z ostatnich swoich felietonów w „Kulturze”, ponuro rozważa rzeczywistość i perspektywy naszych czterech sportowych filarów: lekkiej atletyki, boksu, podnoszenia ciężarów i szermierki, to znaczy tych dyscyplin, w których zazwyczaj zdobywalimy najwyższe medale na olimpiadach. I wprowadził od XXI I-

narodowej Akademii Olimpijskiej, organizacji, której celem jest badanie ideologicznego, społecznego, pedagogicznego i kulturalnego znaczenia ruchu olimpijskiego.

„Zdrowa demokracja oraz właściwie pojęty pokojowy internacjonalizm — głosił kiedyś baron Pierre de Coubertin, twórca nowożytnego ruchu olimpijskiego — be-

bleom na urlopie. Jest to książka Grzegorza Młodzikowskiego „20 OLIMPIAD ERY NOWOŻYTNIEJ”, przygotowana przez Wydawnictwo „Sport i Turystyka”.

„Niniejsza książka nie jest historią nowożytnego ruchu olimpijskiego, nie jest też historią igrzysk olimpijskich” — zastrzegła się we wstępie autor, określając swoją pracę jako monogra-

lokaliku mężczyźni popijają piwo.

Pod mostem, nieopodal uliczki Tawistoch Road też stragany. Obok, na estradzie występuje zespół bitowy. Kilkanaście rzędów amfiteatralnie ustawionych ławek. Dostrzegam wolne miejsce. Siadam. Dwaj młodzi facetki, których niebacznie rozdzielłem przylgają mi się. Przypraszam ich i chcę się przesiąść, ale ten z lewej uśmiecha się i podnosi kiucik do góry. Torsy siedzących obok mnie facetów drgają rytmicznie, głowy mają pochylone. Krótka przerwa w muzyce. Wyjmuję papierosa i częstuję ich. Palimy. Kątem oka spoglądam w rękę jednego z moich współtowarzyszy skróconego papierosa, którego otrzymał od sąsiada. Trzyma go nisko. Pochyla głowę i zaciąga się. Chce podać swojemu koleźce, ale ja jestem po drodze. Zastanawiam się chwilę, po czym podaje mi papierosa. Wiem, co to znaczy, i co to za papieros. Odbieram go i zaciągam się silnie, następnie podaję dalej. To była marihuana albo haszysz. Myślę, że po jednym cugu nie odczuję niczego. Koncert kończy się.

Ludzie wstają i odchodzą. Część pozostaje. Ja i moi towarzysze zostajemy. Gdy dowiadują się, że przyjechałem z Polski, jeden z nich mówi, że był u nas dwa lata temu i miał dziewczynę, Polkę, którą bardzo mile wspomina. Chce mi się jeść, więc wyjmuję chleb i kawałek kiełbasy. Drugi, ten większy, łamię na pół i częstuję swoich towarzyszy. Smakują im. Delektują się. Mam ochotę spytać ich, czy nie mają w zapasie o-wych papierosów. Podejrzewam, że mi odmówią. Wreszcie się decyduję. Jeden zastanawia się chwilę, po czym dyskretnie wyjmuję z kieszeni małe drewniane pudełeczko, bibułkę i rozleżawszy się uprzednio dokoła, ni-zuotko, tak żeby nikt nie zobaczył, wyspuje coś szarego na bibułkę zwilża śliną i skręca. Obserwuję to z napięciem. Biorę papierosa, owijam w dodatkową bibułkę i chowam do małej papierośnicy.

Ludzie wstają i odchodzą. Część pozostaje. Ja i moi towarzysze zostajemy.

Gdy dowiadują się, że przyjechałem z Polski, jeden z nich mówi, że był u nas dwa lata temu i miał dziewczynę, Polkę, którą bardzo mile wspomina. Chce mi się jeść, więc wyjmuję chleb i kawałek kiełbasy. Drugi, ten większy, łamię na pół i częstuję swoich towarzyszy. Smakują im. Delektują się.

Mam ochotę spytać ich, czy nie mają w zapasie o-wych papierosów. Podejrzewam, że mi odmówią. Wreszcie się decyduję. Jeden zastanawia się chwilę, po czym dyskretnie wyjmuję z kieszeni małe drewniane pudełeczko, bibułkę i rozleżawszy się uprzednio dokoła, ni-zuotko, tak żeby nikt nie zobaczył, wyspuje coś szarego na bibułkę zwilża śliną i skręca. Obserwuję to z napięciem. Biorę papierosa, owijam w dodatkową bibułkę i chowam do małej papierośnicy.

Odkryłem kino, w którym

grają „Ostatnie tango w Paryżu”. Nie rozumiem, dlaczego wokół tego tanga — takie tango. Przygotowany na nie wiem co, zaopatrzyłem się w cołę, wyciągnąłem na wierzch papierosa — w kinach londyńskich palenie papierosów w czasie seansów jest rzeczą normalną — i z zapartym oddechem wpatrzyłem się w ekran. A na ekranie, jak na prawie każdym ekranie — fabuła z wątkiem miłosnym, tyle że przesyconym, może nawet bardzo przesyconym seksem. A wygląda to tak:

Zona Pana, którego gra Marlon Brando, popełniła samobójstwo. Pan to przeżywa. Mieszkanie, w którym żył z nieboszczką postanawia wynająć Dziewczynę, którą gra Maria Schneider. Dziewczyna przychodzi oglądać mieszkanie. W czasie tego to oglądania Pan Dziewczynę pożądać. Zdarza się. Tyle tylko, że oni się nie krepują i od razu zaczynają się kochać. Są w tym gorący i gwałtowni, zwłaszcza Pan — typowy brutal! Robią to jednak trochę inaczej. Pikante-

ria ich zbliżeń polega na tym, że Dziewczyna jest naga, a Pan nie zdejmując spodni.

Później Pan i Dziewczyna są w lokalu, gdzie akurat konkurs tańca i tango właśnie. Pijany Pan i pijana Dziewczyna wchodzi na parkiet i tu się zaczyna... Oburzona publika postanawia ich wyrzucić. Wtedy Pan zdejmując spodnie (po raz pierwszy) — i pokazuje im gołą pupę. Na koniec Dziewczyna zabija Pana strzałem z rewolweru.

Zwulgaryzowałem fabułę filmu — w ten sposób powstał komiks pomijający wątek psychologiczny, naprawde interesujący i ważny dla całości. Londyńczyków nie szkodzi ten film specjalnie. Podobne rzeczy, tyle że w dużo gorszym gatunku, obrzydliwie zwulgaryzowane mogą oglądać w granych aktualnie filmach porno przy Piccadilly Circus.

BOGDAN ŚWIECIMSKI

Oto znowu pojawiają się postacie bliskie — ojciec, matka, Melania, Agnieszka, Gerta, Lutek — utrwalone w pamięci jak na płótnie malarza. Oto ojciec, który odprowadza mnie na wojnę. Od tego obrazu — zapamiętanego od lat — zaczynam swoją opowieść. „Ojciec jest wysoki, przeraźliwie chudy, ma twarz wyschniętej mumi, ale życie z tej twarzy jeszcze nie uciekło. Oczy duże, piwne, patrzy przed siebie z żalem i goryczą. Jest wrzesień, pola pachną, las pachnie, słońce południowe, niebo czyste, ale od zachodu syczą grzmoty. Znamy się z ojcem, bierze mnie w ramiona, trzyma jakiś czas przy piersi; potem ja całuję go w rękę i odchodzę. Ojciec stoi na polu. Wiem, że patrzy za mną. Wyczuwam, kiedy zawraca do domu. Z kolei ja przystaję i oglądam się za nim. Ojciec idzie wolnym krokiem, wyraźnie utyka. Nie może iść szybko, przeszkadza mu dren, który ma wprowadzony do żołądka. Od pół roku nie miał chleba w ustach. Najbardziej tęsknił za skórka od chleba. Kiedy pieczono chleb w domu, wychodził w pole. Ta scena nawiedza mnie często we dnie i w nocy.

Oto matka, która odnajduje w coraz to innych okolicznościach. Jedną z fotografii, która ocalała. Matka wałem już tę scenę. Matka siedzi na krześle, my z bratem stoimy po bokach, a dwie młodsze siostry siedzą na podłodze. Brat trzyma rękę na ramieniu matki. Załuję, do dziś, że to nie ja położyłem rękę na ramieniu matki.

Matka nigdy się na nas nie gniewała. Miała naturę swego ojca. Matkę krzywdził ludzie, ale ona nikogo nie skrzywdziła. Kto wie, czy nie lepiej, że matka zastępiła na tej fotografii z gniewnym grymasem. Czas na fotografii jest bogatszy. Człowiek dostrzega więcej spraw niż w bezpośrednim przeżyciu. Do głosu dochodzą wszystkie wątki, te które się narodziły przed fotografią i te, które powstały potem. „Trzaśnięcie drzwi, głośno tykający zegar — mogą nieraz więcej powiedzieć o przeżyciach człowieka niż drobiazgowy, balzakowski opis w tradycyjnej powieści”.

Widzę, patrząc, na to zdjęcie, miasto, w którym chodziliśmy do szkoły, długie, wybrukowane podwórze, i niski, parterowy budynek, w którym mieszkali trzy rodziny. Właścicielka wynajęła nam mieszkanie tanio, bo nie miała amatorów na tę rudę. My zajmowaliśmy jedną izbę, dosyć obszerną. Matka miała już czworo dzieci, ale (widzę to teraz na fotografii) była młoda kobietą. I z każdym rokiem dostrzegam wyraźniej tragedię matki i ojca, którzy dla dzieci musieli się ze sobą rozstać. Ojciec postanowił, że dzieci muszą się uczyć. Oplacanie stancji przerażało możliwości ojca, więc wspólnie z matką zdecydowali to dobrowolne rozstanie. Matka z nami przez dziesięć miesięcy mieszkała w mieście, a ojciec pozostał na wsi. „Zal było patrzeć na ojca — powiadała Melania. — Chodził po całych dniach jak struty. Ani słowa nie można było do niego przemówić. Sam jeden jedyny w tej izbie i gdy wieczór zapadał, nie palił wcale światła. Po co mam palić? — mówił. Jak jest ciemno, nie widać tak dokładnie, że ich nie ma”.

Oto Agnieszka. Pierwsze zbliżenie na strzesze, na chałupie Henka. Pamiętam grusze, które tworzyły nad domem jakby drugi dach. Wchodziliśmy z Henkiem, a czasami z Agnieszką na strzechę, układaliśmy się na niej i patrzyliśmy przez gałęzie drzew na przepływające w górze chmury. Kiedy dzisiaj otworzę okno w moim mieszkaniu w mieście i zobaczę chmury mijające kominy fabryczne i wysokie kamienice, przypominają mi się nasze roz-

mowy i serce mi się ścisza z żalu. Czasami brałem rękę Agnieszki i kładłem ją sobie na piersiach. Lubilem trzymać jej dłoń w swojej dłoni. Najbardziej przejmowała mnie ta chwila, kiedy zamknąwszy oczy szukałem jej ręki. Nie mówiliśmy potem nie do siebie. Tylko wieczorami, kiedy spotkaliśmy się u nas albo u ciotki Melanii, i kiedy ciotka zapalała natłową lampę wiszącą przy okapie, z mroku izby wychylała się ku mnie twarz Agnieszki i jej wielkie, świecące oczy. I jeszcze jedno spotkanie z Agnieszką. Melania wypuściła „granie”. Ludzie byli spragnieni tańca i muzyki. Zeszło się wielu chętnych, tańczono w miejscu. Muzykanci byli z naszej wsi, z wulkim Sikora. Tańczyłem z Agnieszką, obrałem się jak szalony, Agnieszka była przytulona do moje-

I dzisiaj ten obraz muszę powielić, chociaż z jedną rzeczą ciotka skończyła na zawsze: z tańcami. Chodzi mocno przygarbiona, podciera się laską, odnosi się wrażenie, że gdyby jej tę podpórę odjąć, ciotka zlamalaby się w pół. Tę laskę nazywa „Ludwikiem” — „gdzie mój Ludwik się podział — powiada — muszę iść, ten haban ukrył się gdzieś w kącie, jakże ja mam strapienie”. Cóż, tańce odeszły na bok, chociaż ciotka nie opuszcza żadnego grania, kiedy przyjdzie do syna na wieś. Siadzie sobie przy muzykach i przytupuje do taktu swoim „Ludwikiem”. A przy tym nie omieszka rzucić ostrego słówka pod adresem tego lub innego tańca-

TADEUSZ PAPIER

RODOWÓD SREBELKA

go ramienia, chciałem, żeby ten taniec trwał całą noc. Po tem chodziliśmy długo po ogrodzie. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Rozmowa dopełniła się dopiero po latach, kiedy Agnieszka była żoną innego, miała już dwoje dzieci. Odwiedziłem ją w jej domu i pierwsze słowa, jakie usłyszałem, brzmiały: „O tamtych sprawach nie...” W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co jej chodzi. Odpowiedziałem mechanicznie: „Dobrze”. Potem dopiero to wyznanie zaczęło żyć.

Ten sad istnieje, jak i jablonka, której ojciec nie kazał ścinać, mimo, że była chora. Sad i Agnieszka. Obraz sadu w nocy, kiedy świeci księżyc, Agnieszka chowa głowę w liściach jabłonek, które mają barwy białe, srebrne, zielone, czerwone, czarne, to nie jest to drzewo, które widzi się w dzień. Jest inne, ma inne kształty, inną zielen, inną czerwien.

Powinienem wcześniej przypomnieć Melanię. O niej wiele opowiadałem przy różnych okazjach. Melania jest między nami. Jej trwanie, to trwanie rodziny. Pisałem kiedyś o niej, że ma takie oczy, przed którymi nie się nie ukryje; że w oczach ciotki błyszczy zawsze podejrzane ogniki. Te ogniki ożywiają twarz ciotki, nadają jej osobliwy wyraz. Ciotka jest dobruśna i przebiegła zarazem. Ta próba portretu ciotki pochodzi prawie sprzed dziesięciu lat. Już wtedy mówiłem o jej starości, ale, notując, ciotka mimo swoich lat zachowywała się jak młódka. Wypije przy okazji parę kieliszków, pośpiewa, a nawet za- tańczy! „Odnosisz wrażenie, że trzymasz w objęciach młodą, pełną sił kobietę, a nie siedemdziesięcioletnią staruchę”.

Obok Melanii widzę Gertę, jej synową, a obok Gerty „Srebelko”, Iruchnę, którą tak uwielbiają wszystkie. I Gerta się zmieniła, lat przecież przybywa, a nie ubywa, ma już dorosłą córkę, która kończy studia, ale na jej twarzy rysuje się ten sam wdzięk, co kiedyś. Broniek wciąż przypomina, że od pierwszego spojrzenia zakochał się w Gercie. I że kocha się w niej nadal. Może dzisiaj jest w tym wyznaniu trochę przesady, może deklamacji, ale ja słyszę na dnie wypowiedzi Bronka poważniejsze tony. „Broniek jest po wierchu szorstki, a w środku czyste złoto” — powiada Melania. Nie potrafię zapomnieć obrazu Gerty, kiedy stoi nad rzeką i czeka na powrót Bronka z miasta. Zachowała ten zwyczaj do dziś. Dawniej się bała o niego, czy mu się nie zdarzy coś złego po drodze, czy nie napotka niedobrego człowieka, dziś te strachy odeszły, nie potrzeba się bać tych rzeczy. Broniek jest znany i szanowany w gminie, od kilku lat jest w partii, przyjeżdżają do niego ludzie z miasta na rozmowy. Ale i nawet wówczas, kiedy Gerta wie, że Broniek przyjeżdża samochodem, wychodzi nad rzekę i czeka.

Gerta wciąż opowiada, że woda rzeczna ma także swoją muzykę. „Czasami gra jak świerszcze, czasami jak harmonia, w wodzie rodzą się różne dźwięki, a z tych dźwięków powstają różne melodie”. Więc Gerta wykorzystuje każdą chwilę i każdą okazję, aby posłuchać tej muzyki?

Srebelko odziedziczyła po matce (i chyba po Melanii, a raczej po swoim dziadku, mężu Melanii, Ludwiku, którego przezywno poeta) to zamiłowanie do przyrody i muzyki. Także i ona, kiedy przyjedzie z Łodzi do oj-ców na wieś, lubi postać nad rzeką. Pierwsze kroki kieruje nad wodę, kiedy zaś przyjdzie do Melanii, można zawsze ją znaleźć nad jeziorkiem, zwanym Zielona Woda. „Tu mi się najlepiej myśli” — powiada. „To ci habanki — mówi Melania na Gertę i Irenek — obydwie, jakby się w tej wodzie urodziły”.

No właśnie, a dawniej tego o Srebelku nie mówiono. Melania pamięta, jak Broniek wyrzekał, że Gerta nie lubi starych pieśni, że owszem, jest ładna, ale przegąda się w lusterku, za modną kiecką poleciałaby do niekta. A był czas, że Srebelko chciała opuścić wieś, wyjechać daleko, dokąd, sama nie wiedziała, było jej na wsi smutno, że, nie wiedziała, czym zapłacić długie godziny dnia. A dzisiaj? „Mój Boże — powiada Melania — czułam strach o Irenek, dzisiaj jestem pewna, że odnalazła swoją ścieżkę w życiu”.

Melania chyba ma rację, chociaż należy uzupełnić Jej wypowiedź, bo człowiek nie tyle odnajduje swoją ścieżkę, ile ją buduje. Powiedziałem coś na ten temat do Melanii, a ta odparła: „Głupiś! Bo to ja co innego powiedziałam”. Melania jest w tych dniach rozdrażniona, wszyscy jesteśmy podenerwowani, bo Srebelko stoi rzeczywiście przed ważnym dnem w swoim życiu — oto za kilka-kanaście dni, w sierpniu, ma odbyć się jej ślub. Na wesele została zaproszona cała rodzina. Przyjdzie także Agnieszka. Jestem bardzo niespokojny.

Fragm. now. powieści.

Nie posiadam motorówki, ani wędek zagranicznych, a terenie łowieckie w okolicach Kożuszki ubogie są w ryby, lecz mimo to przez czysty snobizm zapragnąłem poczuć się jak ów sławny pisarz, który całe życie wędkuje i wędkuje. W tym celu przeprowadziłem wywiad wśród fachowców od łowienia. Pan Franek powiedział, że w polu pod gruszką mogą jeszcze być karasie, ale to niepewne, gdyż inni fachowcy mogli wypaść je siatką.

— Można by połowić w Nerze — dodał pan Franek — ale trzeba mieć kartkę wędkarską. Chociaż prawdę mówiąc, to karta jest zbędna, gdyż z tej strony Łodzi Nerwa podtruwany przez małą fabryczkę. A w ogóle to lepiej zająć się handlem, np. baranami lub bukatami, a za zarobiony grosz kupić pół litra i śledzie w oleju.

Pan Franek przestał udzielać mi rad, bo zagrało radio i obywatelka nie znana mi osobicie śpiewała o kwiecie jednej nocy, a potem śpiewała pani, o której J. Waldorff źle się wyraża. Z kolei śpiewałem ja i pan Franek, zagrywając w sześćdziesiąt sześć. Pogoda była galeonniczna. Mimo to nie rezygnowałem z łowienia. Byłem jednak ostrożny, pomny doświadczeń dwóch młodych ludzi, którzy z siatką wtargnęli na tereny łowieckie należące do pewnego agenta wywiadu parafialnego. Agent stwierdziwszy wtargnięcie (poszarpane wodorosty), oznajmił, iż zbiornik był bogato zarybiony i że wyciągnięto zeń bezprawnie kilka kilogramów karpia, po czym przekazał złoczyńców w ręce zastępcy szeryfa w R. Ten natychmiast zapuścił młodych ludzi, odebrał im sznurówki i paski, czym zyskał aplauz ze strony księdza proboszcza, który jest przeciwnikiem aktów targania się na własne życie. Jednakże zastępcza szeryfa po odbyciu wizji lokalnej i

zapoznaniu się z zasadami hodowli stwierdził, że w zbiorniku o powierzchni 20 m kwadratowych może żyć około 20 karp, a ponieważ okoliczni świadkowie zeznają, iż w ciągu ostatnich dwóch lat ryb tego gatunku nie zauważono, przeto donos o agresji na powyższy zbiornik jest fałszywy. Dwa ludzie otrzymali paski, sznurówki oraz pozostałe części garderoby i cało wyszli z okratowanej łaźni w R.

Prowadziłem dalsze sondaż. Rozmawiałem z panem Bolekiem, który bardzo dobrze zna się na rybach, a jeszcze lepiej na grzybach. Pan Bolek zbierając grzyby w małym brzeziniaku, wyznaczał kolegom specjalne odcinki, żeby potem nie było nieporozumień, do kogo grzyb należy. Kiedy jednak dostrzegł krawca lub prawnika na odcinku przeciwnika, rzucił się nań jak Tomaszewski w bramce na piłkę. Pan Bolek powiedział:

— Już koniec z rybami! Nie to, że wytrute, ale zamaryły w lodzie.

— Przecież zimy nie było!
— Cóż z tego! Woda płytka, lekki mróz ścina ją do dna. Ale jak chcesz dziabnąć coś na wędkę, to stań, brachu, o świcie nad gliniankami. Rządka trafisz na karasia lub linę, ale szupak pewny! Najlepiej idzie na radziecki blysk.

Nie skorzystałem jednak z radzieckiego blysku, bo woda

w gliniankach jest bardzo mętna i nieruchliwa. Nakopalem natomiast dżdżownic i przygotowałem wędkę własnej produkcji na drobne rybki. Aby nie zasnąć, poczęłem grać

Pan Franek poszedł ochotnie, albowiem żona zagroziła, że pojedzie sama na wczas, ja zaś udałem się do stodoły na siano, skąd nie zdolały mnie przegnać nawet krąjące

szpary wlewało się światło księżycowe oraz westchnienia śpiącej pod pobliskim sadem sąsiadki o pięknych, bujnych kształtach. Z myślą o tej sąsiadce oderwałem nawet dwie deski w ścianie stodoły, ale byłem pilnie strzeżony przez wrogich agentów i nic z tego nie wyszło.

Zbladł księżyc i dojrzał świat, kiedy zarzuciłem wędkę na jednej z glinianek. Była cisza, tylko tu i ówdzie szczerzył pies oraz dzwoniły mi z chłodu zęby, a splawik ani drgnął. Potem zadzwoniły w obojętnej kleparze na żelaznych bawkach kosi, gdyż po tej pogodzie butelkowej z piorunami zboże mocno wyległo i snopowiązalki nie nadawały się do użytku. To zapewne ploszyły ryby, ale akcja żniwna była ważniejsza.

Dochodziła godz. 6, dnia 19 lipca i splawik nawet nie drgnął, natomiast od wzgórza usypanego przez spychacz rozległ się tętent i do glinianki wpadło stado krów. Woda została zbełtana, tak że lada chwila rybki mogły pływać do góry brzuchem.

— Nie mógłbyś pan gdzieś indziej poić tego bydła? — powiedziałem do gospodarza.

— To jest mój grunt — oburzył się gospodarz — i pan nie powinien tu łowić rybek!

— Grunt jest wykupiony przez zakład ceramiczny — zauważyłem — więc nie ma pan co się rzucać.

— A pan możesz se te mądrosce wypisywać w gazecie, a nie do mnie z taką mową. I w ogóle hodowla bydła jest chyba ważniejsza niż pańskie zachcianki.

No to już po rybkach, pomyślałem, gdyż zaczęła pracować koparka i zaturkotały wózki spalinywej kolejki. Ponadto moja uwagę rozpraszają wyżej wymieniona sąsiadka o pięknych kształtach, która stała na szczycie wzgórza i głośno nawoływała małego

RYSZARD BINKOWSKI

Jak nie złowiłem RYBK I W GLINIANKACH



z panem Frankiem w sześćdziesiąt sześć. O północy pani Bożena powiedziała:
— Chodź, Rumejśkie, do domu, bo się rano spóźnią do kasy!

nad Kożuszkiem burzę z piorunami, choć nieraz czolgałem się po tym sianie, aby uciec przed lejącą się przez strzechę wodą. Oczekiwałem świtu. Przez

ODGŁOSY

MAGAZYN WAKACYJNY Nr 4

WCZASY POD GRUSZĄ

Kto lubi spokój i ciszę, a w roztargnieniu zapomniał o zabezpieczeniu sobie wypoczynku urlopowego radzimy wywczasu na wsi.

Lubezyna - woj. szczecińskie - 30 miejsc wolnych w cenie 30 zł za łóżko. Informacji dokładnej udzieli Urząd Gminy, tel. 83.

Lukaczin - woj. szczecińskie, pow. Kamień Pomorski, między Dziwnowem a Pobie-

rowem. Wolne miejsca noclegowe, wieś niezagospodarowana turystycznie.

Dłusko koło Złocieńca - woj. koszalińskie - 60 wolnych miejsc w hotelu i campingu na drugą połowę sierpnia. Zgłoszenia przyjmuje PTTK Koszalin, ul. Bieruta 5, tel. 251-12.

Mielno - czynne pole namiotowe przy ul. Polskiego Października, opłata 7 zł za dobę.

Warmia i Mazury. Wolnymi miejscami dysponują wsie letniskowe całego województwa.

Łagów Lubuski - woj. zielonogórskie - wolne miejsca w kwaterach prywatnych. Informacje w recepcji centralnej POSTiW w Zamku, ul. Kościuszki 3, tel. 10, czynny całą dobę.

Kaczory - pow. Chodzież, woj. poznańskie - rezerwacji miejsce dokonuje miejscowe Koło Gospodyń. 14-dniowy pobyt w Kaczorach kosztuje 750 zł.

Kaszczor - pow. Wolsztyn - 50 wolnych kwater. Zgłoszenia przyjmuje soltys **Tuchola** - dla amatorów grzybobrania. Recepcja Centrum „it” pl. Wolności 14, tel. 349 przyjmuje zgłoszenia na pobyt we wsiach letniskowych całego powiatu.

Kazimierz Dolny. Zamówienia na pobyt w kwaterach prywatnych przyjmuje PTTK, Rynek 27. Na sierpień zamówienia przyjmuje DW PTTK, ul. Krakowska, tel. 36.

Polanica. PTTK ul. Zdrojowa 9, tel. 312 przyjmuje zgłoszenia na pobyt w kwaterach prywatnych w Starym Wielisławie. Są także miejsca w Górach Stołowych w miejscowości Pasterka.

KATOWICKIE

O wolnych miejscach sygnalizują wsie letniskowe: **Szczyrk** - tel. 124; **Bystra** - tel. 546; **Jawora** - tel. 124; **Ustroń** - tel. 223; **Wisła** - tel. 27-33; **Brenno** - tel. 76; **Istebna** - tel. 83.

KRAKOWSKIE

Wolne miejsca tylko w kwaterach prywatnych. **Nowy Targ** - wolne miejsca w Czarnym Dunajcu, Białce Tatrzańskiej i Poroniu, Kluczkowcach. Bliższych informacji udzieli POSTiW „Podhale”, tel. 29-64.

Limanowa. BORT ul. Świerczewskiego oferuje miejsca w stacjach turystycznych, tel. 358.

BIESZCZADY

Solina. Wolne miejsca na campingu, tel. 348. Jest tam również pole namiotowe.

RZESZOWSKIE

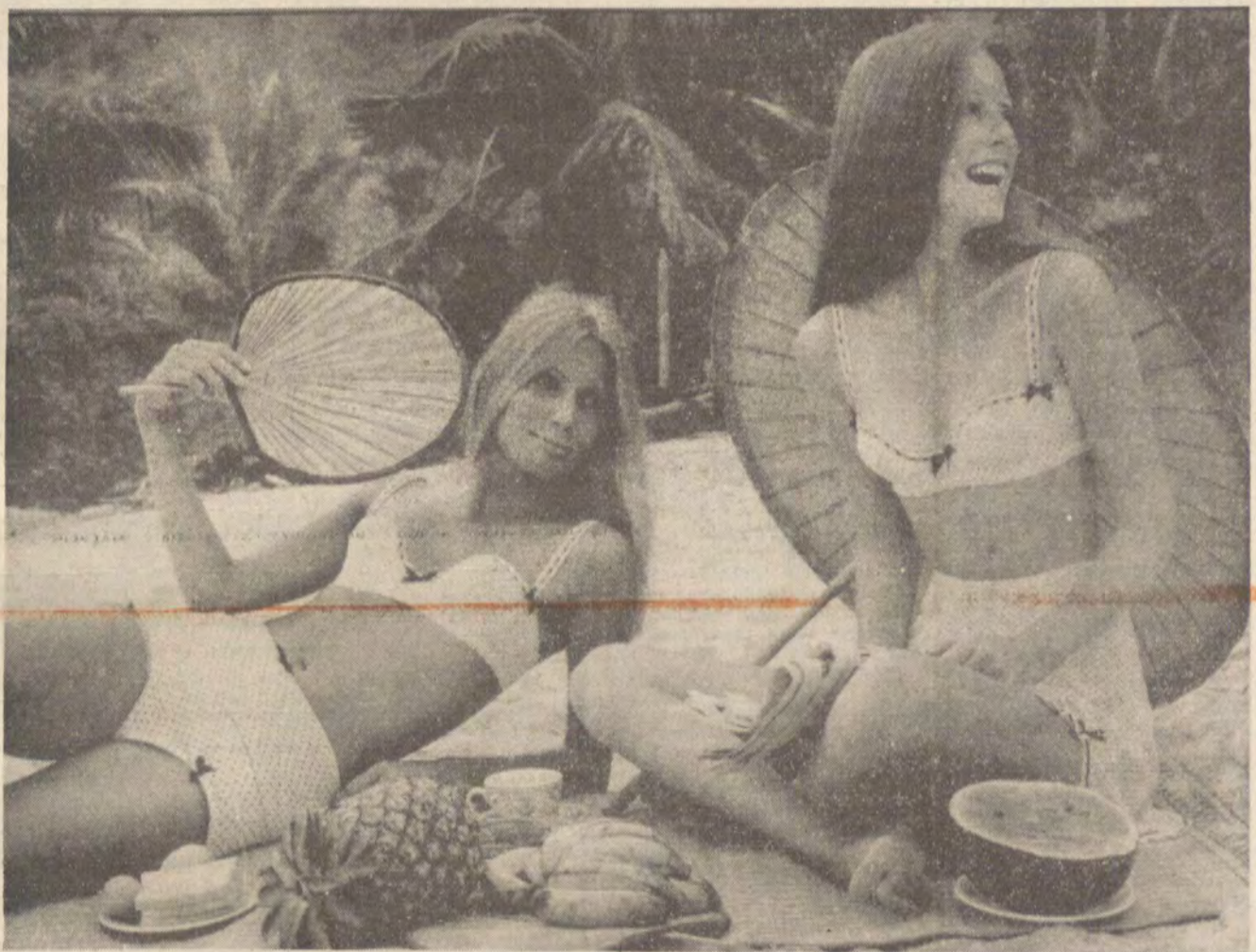
Bobowa. 120 miejsc w kwaterach prywatnych - za 2-tygodniowy turnus opłata wynosi 600 zł od osoby. Zgłoszenia przyjmuje Urząd Gminy, ob. Górską, tel. 2.

Cisna. 150 miejsc w stacjach turystycznych i 50 w

kwaterach prywatnych. Rezerwacja - Maria Jarema, Urząd Gminy, Cisna, tel. 38.

Krasiczyn. 110 miejsc w kwaterach prywatnych. Zgło-

szenia: Urząd Gminy w Krasiczynie, ob. Jolanta Wodnicka, tel. 20. Po obwodnicy bieszczadzkiej kursuje już ambulans lekarski.



O podlódzkich **Grotnikach** mówi się, że mają mikroklimat identyczny jak Rabka. Być może to prawda, bo to i las i piaszczyste wydmy i wilgoć akurat tyle, ile potrzeba... Ciągną więc łodzinie do Grotnik - może nie tyle z racji klimatu co po prostu bliskości.

W każdą niedzielę „zielona linia” miejskich autobusów przynosi ludzi w kilkadziesiąt minut ze śródmieścia Łodzi w piękny, pachnący las. A poza tym kilkanaście pociągów dziennie (na Kutno i Toruń) zatrzymuje się obok zielonej budki z napisem „Grotniki”.

I właśnie w niedzielę Grotniki przypominają Piotrkowską o godzinie czwartej po południu, i właśnie w niedzielę spotyka się tu znajomych. W „Leśniczance” tłok i zatargi z personelem. Niedawno nawet jedna z gazet miała pretensję do agenta prowadzącego „Leśniczanke”, że nie wpuścił w czasie deszczu spacerowiczów pod swój dach. No cóż nie byłam przy tym, ale... Czy można byłoby mieć pretensję do personelu „Rekordu”, że nie wpuści do środka na przykład... pochodu pierwszomajowego?

Myślę, że problem warto zobaczyć inaczej. Dziesiątki tysięcy ludzi odwiedzających Grotniki w niedzielę mają praktycznie do dyspozycji ową nieszczęsną „Leśniczanke” o powie-

żalni dwa razy M-5. Skoro jednak zrobiono tyle dobrego, że Grotniki przybliżono do Łodzi - warto chyba pomyśleć i o tym aby ta rekreacyjna miejscowość miała też jakieś takie usługi.

Niestety - nie ma. Klub „RUCHU” co prawda jest - nawet niezłe zaopatrzone, ale mieści się w dwu kłitkach - oblegany non stop przez wycieczki kolonijne... Jeszcze „Pozio-

choć giną one w lasach - nawet tych tłumów tak na co dzień nie widać. A przecież są ogromne kolonie Zakładów im. Marchlewskiego, Spółdzielców, centrali Artech, energetyków, wydziałów oświaty, budowlanych...

Zajrzałem do kolonii Wydziału Oświaty Łódź-Powiat. W tym roku dzięki sprawniej organizacji wygospodarowano tu dodatkowy trzeci turnus. Kle-

drzew kolorowe lampiony. Dzieci czują się tu znakomicie...

Dzieci w ogóle w Grotnikach czują się znakomicie. Rzecz bowiem w tym, że ich kolonijne wczasy są zorganizowane, nie ma czasu na nudę, nie ma problemu z wyżywieniem, ze sprzętem sportowym, z rozrywką...

Gorzej z dorosłymi, którzy głównie w niedzielę przyjeżdżają tu niejako indywidualnie. Dla dorosłych zostaje tylko las - i choć to bardzo wiele - to chciałoby się jeszcze widzieć tu jakiś rozeń, jakiś barobus... Nie wiedzieć czemu piękny barobus stanął ostatnio... na osiedlu Teofilów, obok pijalni piwa w sąsiedztwie jednej jadalni i nieopodal drugiej restauracji i kawiarni... A gdyby go tak skierować do Grotnik?

W dni powszednie w Grotnikach jest ciszej i spokojniej. Sklepy otwarte, więc z zaopatrzeniem kłopotów mniej, mniej także samochodów, mniej namiotów w lesie.

Dlatego namawiam - do Grotnik jedźmy w dni powszednie! Choćby pociągiem z Kaliskiego 16.08, albo 16.49, albo nawet 17.00. Nawet na te trzy godziniki warto, aby wrócić pociągiem o 20.18. Pamiętajcie - Grotniki nigdy w niedzielę! Po co jeździć na Piotrkowską?

J. WIL.

LATO w słowniku

Lato - najcieplejsza pora roku, wg kalendarza trwająca na naszej półkuli od 22 czerwca do 22 września, okres upałów. Słownik języka polskiego str. 337

Upał - wysoka temperatura powietrza; gorąco, żar skwar. Słownik języka polskiego str. 862

Skwar - wysoka temperatura powietrza atmosferycznego, spiekota, upał, gorąco, żar. Słownik języka polskiego str. 754

Spiekota - sucha, upalna pogoda, suchy dojmujący upał; spiekota, żar. Słownik języka polskiego str. 764

Żar - wysoka temperatura powietrza; upał, gorąco. Słownik języka polskiego str. 1028

Gorąco - bardzo ciepło, skwaro, upalnie. Słownik języka polskiego str. 204

W ten oto naukowy sposób wiemy już dokładnie, że upalnie to znaczy gorąco; gorąco znaczy upalnie, że żar to upał, że gorąco to skwaro... Teraz już z pogodą ducha przyjmujemy każdy kaprys pogody.

KASTELIANO

Ruch uliczny

- Gdyby mi powierzono tę sprawę - powiedział Don Teochenes rozpierając się wygodnie w fotelu i wypuszczając w sufit klub dymu z cygara. - Już dawno sprawa ulicznego ruchu została rozwiązana.

- Serio? Pan by to potrafił?

- Przede wszystkim zlikwidowałbym chodniki. To one są przyczyną wszystkiego zła.

- A co z pieszymi? - Piesi? Nie. Trzeba posłać ich w diabły! - zdecydowanie powiedział Teochenes. - Czyżbyście uważali, że te chodzące przeżwłki średniowiecza mają prawo do tego, aby zostawiać im po obu stronach jezdni kilka metrów przestrzeni? I to w chwili, kiedy biedni kierownicy muszą zadowalać się ulicami orzepętanymi samochodami!

- Racja! - ponarł go ktoś. - Mało tego, wyobraźcie sobie, że są piesi, którzy lubią spacerować...

- Lubia... Ja, na ten przykład lubię jacht - burknął Don Teochenes. - A mimo to muszę zadowolić się swoim Rolsem. Trzeba umieć poskramiać własne zachcianki.

- Co prawda, ta prawda - zgodzili się współbiesiadnicy.

- A oto co zrobiłbym jeszcze - ciągnął Don Teochenes. - Zabroniłbym pieszym wychodzić na ulice w niedzielę i święta. Jakże byłoby cudownie wiewdzać poza miasto, nie myśląc, że w każdej minucie można kogoś tam przejechać! Przecież w takich przypadkach najwięcej czasu tracimy na te głupie formalności...

GROTNIKI - NIGDY W NIEDZIELĘ

mka" wielkości budki z gazetami serwująca lody i rurki z kremem, jeszcze jakiś kiosk czy sklepik... I to już prawie wszystko.

A przecież Grotniki to siedziba kolonijna setek łódzkich dzieci - jest więc owe codzienne zapotrzebowanie na lody, oranżadę, ciastka, zabawki, kartki pocztowe...

Dzieci w Grotnikach mrowie,

rowniczka dwu pierwszych turnusów **Zofia Ozinkowa** oraz kierowniczką turnusu trzeciego **Irena Cząsikowska** mówią: „Nasz ośrodek może nie jest tak pięknie wyposażony jak inne, bogatsze, ale za to mamy perspektywę. Niebawem placówka ta rozbuduje się; otrzymamy nowe obiekty; już dziś dysponujemy sprzętem turystycznym, sportowym, czymś w rodzaju miejscowego radiowęzła - niebawem zapłoną wśród

Pocztówka z Kożusznika

SZANOWNY
PANIE REDAKTORZE!

Na wstępie donoszę, że u mnie wszyscy zdrowi, czego i Wam serdecznie życzę. Urlop przeznaczony na działalność twórczą spędzam we wsi Kożusznik, albowiem wilka zawsze ciągnie do lasu. A jakże tworzę, bo warunki do tworzenia są tu znakomite. Kożusznik bowiem, to wieś prawie środkowa, ptaki śpiewem frywolnym macą ieno ciszę, ale niech Pan nie myśli, że to tzw. zadupie. Jest tu bowiem elektryka, wyją radia i błyskawicą niebieskim śmiechem telewizory, a dośrodku wsi usytuował się kiosk „Ruchu”.

Teraz spyta Pan niechcący, czemu ową korespondencję ośmielałem się zakonotować na taśmie papieru toaletowego. Wyjaśniam przeto, że kiosk od tygodnia jest nieczynny „spowodu reamenentu”. Papier proszowy się wyczerpał, listowy tudzież, kioskarka więc podsunęła mi rolkę, gdyż nie ma na nią w Kożuszniku popytu, jako że w sławojkach zastodolnych wiszą na gwoździu pociecie na odpowiedni wymiar konsumenta skrawki poczytych gazet, których tytułów nie wymieniam. Pdyż penetracja sławojek w Kożuszniku by-

łaby nie tylko nietaktem ale i przedsięwzięciem niebezpiecznym i kompromitującym. Mimo to tworzę, ośpiwany brzękiem komarów, kumkaniem żab, psów szczekaniem itp.

Wszelako nastąpiły trzy wydarzenia, które wytrąciły mnie z równowagi oraz ze sprzyjającej weny. Po pierwsze — soltysowi ocieliła się krowa. Nikt by o tym nie wiedział, ale soltys nie wytrzymał. Wbiegł do sklepu geesu i wychrypiął:

— Ludzie! cieliczka!

Zapanowała cisza, nie było żadnego aplauzu, tylko prezes kółka rolniczego zauważył szeptem:

— Bogatemu to i byk się ocielił...

Soltys jakby nie dosłyszał, zgrzyliwości mógł się jednak spodziewać, gdyż jako członek Komisji Rewizyjnej często wtykał nos w sprawy dziwnie wyjeżdżonych dniówek przez traktorzystów z kółka.

— Nie wiada, czy warto hodować — mruknął ktoś zawistnie.

— Warto, warto! Będzie mleko i obornik. To cenny, zdrowy nawóz...

— Pecunia non olet — zauważył stosownie kierownik szkoły.

— Panie, panie! — wystąpił nagle prezes w obronie soltysa — takie pierdoly to możesz se pan dzieciom w szkole opowiadać!

Zmiana frontu nastąpiła w wyniku zakupu, jakiego dokonał soltys. Była to półlitrowka wyborowej z niebieską kartką oraz otwarta przez sklepową puszkę śledzia po gdańsku. Soltys z prezesem, bardzo już zgodni w poglądach, zniknęli w głębi budki nocnego stróża, gdzie czcili szczęśliwe wycielenie zagryzając wyjmowanym za pomocą kapsla śledziem. Nikt nie zwrócił na to uwagi, gdyż budka stoi zazwyczaj pusta, jako że nocną wachnię pełnią kolejno gospodarze, warując raczej w pobliżu własnych obejść. Dość często natomiast wchodzi do niej za swoją potrzebą dzieciaki, a raz dwóch chłopaków spędziło w niej wagary, ćmiąc sporty i grając w oko.

Potem nastąpiło drugie ważne wydarzenie, zakłócające nie tyle moją pracę twórczą, co akcję żniwną. Otóż w ramach pomocy sąsiedzkiej zwozili wspólnie zboże młodzi Jan W. i Danuta R. Wyladowana fura, na której wracali z pola, wyrwała się góra snopów przywaliła nie-szczęśliwcom. Zjechała drużyna OSP i przystąpiła do blyskawicznej akcji ratowniczej. W miarę ubywania snopów ludzie zaczęli wątpić, czy tamci żyją, gdyż nie się nie ruszało. Kłedy jednak została cienka warstwa, snopy ożyły. Wreszcie snopy rozsypany się Jan W. i Danuta R. w pozie rzec by można porno-

graficznej. Soltys zaczął rozpedzać dzieci, a Maria L., która ma jeszcze w domu kółkówek i odznacza się pobieżnością, jęknęła:

— Ludzie, żeby tak w chlebie...

Po czym obwieściła, że mogą stąd wyniknąć jakieś kary i plagi, jak burze z piorunami itp. Poszła na konsultację do proboszcza, wieczorem zaś odbyło się specjalne posiedzenie kółka różańcowego, poświęcone omówieniu środków profilaktycznych, jakie należy podjąć w celu uniknięcia plag.

Trzecie wydarzenie dotknęło mnie osobliwie. Jako przydybala mnie kierowniczka punktu bibliotecznego i oznajmiła w sekrecie, że jedna letniczka wypożyczyła wczoraj książkę znanego pisarza. Dodała z naciskiem, że pozycja ta od pół roku leżała niefaktycznie na półce. Zaintrygowany udałem się do punktu, ale z nazwiska zapisanego na karcie czytelnika nie nie mogłem wyczytać. I prawdziwość, nazwisko bowiem było zafal-szowane. Przekonałem się o tym, kiedy bibliotekarka dyskretnie wskazała mi ową letniczkę.

Panie Redaktorze! Moge przyjąć, że była to osoba z kręgu rodzinnego pisarza, i też nieźle znająca się na piśarstwie. Krew mnie jednak nie zalała, pomysłam sobie bowiem, że kiedy mój syn pójdzie do szkoły i nauczy się czytać, to ja też będę miał swoich czytelników.

Na tym kończę i pozdrawiam serdecznie Pana Redaktora. Z wyrazami szacunku.



NASZA RADA:

RYSZARD BINKOWSKI

— Nie opalaj się w lesie!

Powiększenia

NAUKA I ŻYCIE

Jedną z przetworów owocowo-warzywnych, znajdujących się w województwie łódzkim, nawiązała kontakt z naukowcami, aby wyszukała dla plantatorów taki gatunek wiśni, który regularnie i obficie owocowałby.

Praca naukowców trwała 7 lat. Zaproponowany plantator gatunek... nie owocuje. Co robią naukowcy? Proste. Naukowcy prowadzą teraz prace naukowe na temat: Dlaczego drzewa owocowe, które miały obficie owocować, wcale nie owocują?

Ich praca potrwa chyba drugie 7 lat. Przypomina nam to inne wydarzenie z życia nauki, kiedy zespół naukowców po długich badaniach doszedł do wniosku, że ludność Polski dzieli się na dwie podstawowe grupy... mężczyzn i kobiety.

PRZEKŁADY

W telewizyjnym „Forum” wystąpił nieoceniony red. Roman Samsel, który oświadczył m. in., że książki pewnego amerykańskiego uczonego polskiego pochodzenia tłumaczone są nawet na... angielski.

Ciekawostka. Czy to co pisze Roman Samsel w „Kulturze” też jest tłumaczone na polski?

KTO CZYTA BOYA?

„Express Ilustrowany” zachęca do przeczytania tomu „Listów” Tadeusza Boya-Zeleńskiego pisząc m. in. „Ostatni list napisał Boy 28 kwietnia 1939 r. do przyjaciela Paula Czajna”.

Niniejszym zachęcamy autorkę owej notki do przeczytania „Listów” Boya. Ostatni list wielkiego pisarza publikowany w tej książce nosi bowiem inną datę i skierowany jest do zupełnie kogo innego. Mała rzecz, a jednak warto dokładnie kartkować omawiane książki.



Kariera z podrobionym dyplomem

Wojciech M. miał lat 19 i kończył trzecią klasę Technikum Budowy Samochodów w Warszawie. Promocji do klasy czwartej nie uzyskał... W październiku 1955 r. odebrał ze szkoły swoje dokumenty i podjął pracę w Przedsiębiorstwie Technicznego Zaopatrzenia Budowlanego w Warszawie. Potem zmieniał pracę raz po raz: Zakłady Remontu Maszyn Poligraficznych, Fabryka Przyrządów i Uchwytów „Avia”, Zakłady Napięcia Im. Dymitrowa i jeszcze inne. Wszędzie — przy zalewaniu formalności nawiązujących trwały kontakt z nowym miejscem pracy — przedstawiał świadectwo dojrzałości w odpisie. Wynikało z niego, że Wojciech M. zdał przed Komisją Egzaminacyjną powołaną 20 maja 1955 r. w Technikum Budowy Samochodów — egzamin i uzyskał tytuł „technik eksploatacji”, po ukończeniu nauki na wydziale eksploatacji.

W lutym 1962 r. rozpoczął kolejną pracę — w Centrali Produktów Naftowych w Warszawie. To był okres wielkiego przelomu w życiu „technika eksploatacji”. Tu poznał swoją przyszłą żonę i tu został utytułowanym „inżynierem z politechnicznym” wykształceniem mechanika”. Taką rekomendację uzyskał od kierownika Działu Głównego Mechanika — Piotra K. Taki tytuł — to potęga. Aż żal było ustawić „pana inżyniera” na stanowisku, które nie dawało mu szansy ekspozycyjnej tak wysoko kwalifikowanej wiedzy. Nie miał jednak nikomu za złe pełnienia funkcji, do której wystarczało wykształcenie średnie. Z całą skromnością przedstawił w wydziale kadr odpisy świadectw ukończenia Technikum Samochodowego i Politechniki Warszawskiej. Przekreślił Politechnikę na próżno jednak szukał w rejestrze byłych studentów stołecznej uczelni nazwiska Wojciech M.

Na razie jednak wszystko szło jak po atlasie. Nowy rok 1963 Wojciech rozpoczął następną zmianą pracy. Zakotwiczył w Skierniewickich Zakładach Budowy Urządzeń Chemicznych „Chemostal”. W rok później Wydział Komunikacji Prezydium WRN powołał go — za pośrednictwem Zarządu Powiatowego Ligi Obrony Kraju — na stanowisko nieetatowego inspektora gospodarki samochodowej. W sierpniu 1971 r. posiadacz znakomitych cenzusów naukowych został przyjęty w nowym miejscu pracy: w Fabryce Urządzeń Odlewniczych „Fumos” w Skierniewicach. Miał już stano-

wisko... starszego inżyniera. Miał również posadę... nauczyciela w Zasadniczej Szkole Zawodowej.

Starszy inżynier „podpadł” w „Fumosie”. Niezbyt sobie radził z dyspozycjami o charakterze technicznym. Dyrektor zakładów zaczął coś podziewać. Przejrzał dokumenty Wojciecha, napisał do Politechniki Warszawskiej, a potem do... prokuratora, która poddała sygnifikację „inżyniera” urzędowej ankiety i życiorysu pisane przez Wojciecha M. i składane pracodawcom mogły swą treścią nieco szokować. W dobie kultu dla wiedzy technicznej w tym wypadku, podparcie znajomością języków obcych (błęgie w mowie i piśmie) — jak napisano w odpowiednich rubrykach ankiet personalnych i oficjalnym stopniem wojskowym — osobnik składający się z takich walców musiał budzić szacunek i akceptację. Kto by nie chciał mieć takiego fachowca.

A inżynier zwierzył się prokuratorowi w miarę szczerze trudne warunki materialne i rodzinne, chęć zdobycia mieszkania i małej stabilizacji poddyktowała mu wyjście śmiało a oszukawie. Sam sobie sporządził odpis nie istniejącego świadectwa ukończenia wyższej uczelni, ale zachował w dyskrecji osobę, która odpis poświadczyła jako zgodny z rzekomym oryginałem. O rzeczywistym podjęciu wyższych studiów wcale nie myślał, nie podejmował żadnych starań, żeby dostać się na jakąkolwiek uczelnię. Technikum Budowy Samochodów też nie miał zamiaru skończyć.

Rozprawa, która odbędzie się w Sądzie Powiatowym dostarczy sporo sensacji. Było nie było — przez lat osiemnaście Wojciech M. wspiął się na szczybie kariery zawodowo — społecznej. Przeszedł ich co najmniej siedem. Tytuł Instytutu zawiasta „Historia” pokrzywdzonych, która kończy akt oskarżenia. Będą ona reprezentowane przez wielu świadków. Latwo się domyślić, że rozprawa — bez względu na wynik końcowy — przysporzy satysfakcji oskarżonemu a zażenowania świadkom.

Szuka oszukiwania wcześniej, czy później kończy się fiaskiem i odpowiedzialnością karną. Ale jak sobie uprzytomnie fakt powołania spryciarza, który nie skończył nawet szkoły średniej na stanowisko inspektora gospodarki samochodowej w Wydziale Komunikacji Prezydium WRN w Łodzi — to nie mogą utrzymać poważnej miny...

ZOFIA TARNOWSKA

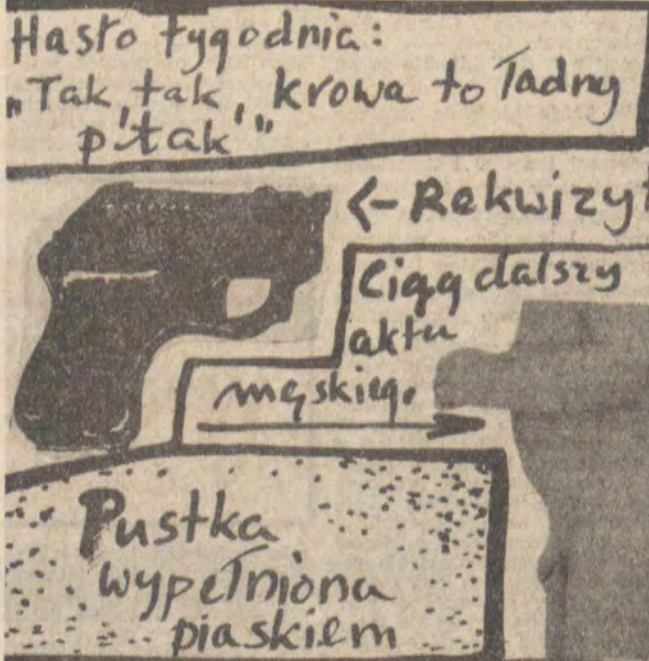
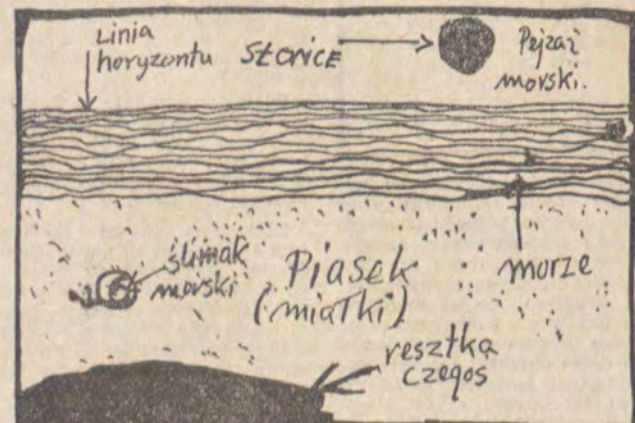
„ZŁOTA PLYTA”

Pasmo sukcesów odnosi ISAAC HAYES — murzyński kompozytor, aranżer i wokalista. W roku ubiegłym muzyka do filmu „Shaft” przyniosła mu nagrodę Akademii Filmowej — Oscara. Ostatni long-play Hayesa — zwanego „Czarnym Mojżeszem muzyki soul” — z nagraniami z koncertu w Tahoe, w ciągu trzech pierwszych dni sprzedaży zapewnił producentom płyty, milion dolarów dochodu. To się nazywa „Złota Płyta”!

...

Kolejnym zaszczytem — jaki spotkał 58-letniego weterana amerykańskiej piosenki Franka Sinatrę — było nadanie mu tytułu członka „Hall of Fame” („Izby sławy”). Godność tę przyznaje związek twórców piosenek.

KOMIK·SEX! BAM MAGAZYN!! GRUHA
ZALEŻNY OD ŻYCIA
POD REDAKCJĄ ANDRZEJA co tydzień odcinek (sobota)





LE
LE
LE

„PALEC BOŻY“

Tegoroczne lato obródziło nam w polskie debiuty. Po „Opisie obyczajów“ możemy — o ile nie bawimy na urlopie — obejrzeć nowy film polski „Palec boży“. Dziwna jednak polityka kierująca się naszymi filmami, ustalając premierę filmów ważnych, znaczących w czas kanikuli. Ten niezrozumiały proceder krzywdzi debiutanta i jego film, a przede wszystkim filmową publiczność, bowiem w sezonie wakacyjnym społeczno-krytyczny odzew jest nader niski. Ta krzywdą jest szczególnie dotkliwa wtedy, kiedy mamy do czynienia z filmem wybitnym, a takim — w tym algebrycznym przekonananiu — jest „Palec boży“ Antoniego Krauzego.

Krauze jest kolejnym debiutantem, który wyszedł na swoje bez konieczności jatowego częstokroć pobytu w asystentkim terminie. W swoich fabularnych filmach telewizyjnych uderzył w ton prawie nieobecny w rodzimym twórczości. „Mondino“, „Piżama“ i „Meta“ — to trzy sugestywne obrazy z życia nizin społecznych. Reżyser nie przychodził tam z zewnątrz, szukając li tylko egzotyki kinałackiego obyczaju i śmieszności w ludzkim pejzażu, lecz żywił i z wielką przenikliwością psychologiczną starał się ukazać pod maskami i konwencjami rodzajowości żywych ludzi. Przebąkano o „małym realizmie“ Krauzego, o spożytkowaniu czeskich doświadczeń, a nie dostrzeżano, że jego metoda formułuje ostrą krytykę społeczną i moralistykę najsłabszej próby („Meta“).

Tę tendencję znalazły znakomite spełnienie w debiucie Krauzego. Jednocześnie „Palec boży“ jest filmem, którego ideologia sytuuje się jak gdyby piętro wyżej od dotychczasowych dokonani reżysera. Uogólnienie ludzkiej sytuacji jest tu znacznie szersze, ranga stawianych pytań donioślejsza, ich estetyczna forma bardziej oryginalna. Krauze pyta bowiem w „Palcu bożym“ o szansę rozwoju jednostki w konkretnych warunkach społecznych. Pretekstem fabularnym tej problematyki jest historia uzdolnionego chłopca (oparta na autobiograficznej powieści Tadeusza Zawierucha „Selekcja“), który za wszelką cenę pragnie zostać aktorem. Jego trzy kolejne starty przed komisją egzaminacyjną kończą się — mimo oczywistego talentu — klęską i ruiną psychiczną. Jego pałająca obsesja, a upór niepostrzeżenie prowadzi w obłąd. Krauze wybrał profesję aktorki jako cel indywidualnych ambicji ze względu na pewną barwność tego zawodu, którego profity stanowią stereotyp sukcesu. Ale przecież nie tylko o sukces tu chodzi, chociaż i tej czynicznej pozycji bohater Krauzego nie unika. Znacznie ważniejsza jest egzystencjalna potrzeba twórczości, spełnienie własnych możliwości i zostawienie śladu po sobie. Tak pojęta koncepcja życia zostaje w filmie zderzona z postawami rezygnacji z powodów politycznych, religijnych, konsumpcyjnych. Rodzą się one jako odpowiedź na sochorzenia społecznych form zbiorowego życia. Koronnym argumentem jest tu kolektyw egzaminacyjny, który działa na zasadzie selekcji negatywnej. W tej sytuacji świadomość ograniczeń staje się jednak wartościową. „Zrozumieć to, co istnieje obiektywnie, poznać naszą rolę i potraktować obiektywnie jako szansę“ — mówi reżyser. Albowiem niejednokrotnie psychizacja i moralna cena, jaka płaci się, brnąć w przedmiotach do celu przekracza znaczenie tego obiektywnego wartości. Ten sposób medytacji, który film proponuje skutecznie, przekracza pułap doradziej krytyki społecznej. „Palec boży“ nie zatrzymuje się na publicystyce, lecz sięga w regiony parawizji filozoficzno-moralnej.

Tym ambicjom służy bardzo interesujący kształt filmu, który zaprzecza już jakby ukształtowanym wyobrażeniami o artystycznym temperamencie młodego reżysera. W twórczości telewizyjnej Krauze zdradzał zamiłowanie do kina wierzącego w rzeczywistość, onartego na drobniakowej obserwacji autentycznych środowisk. Tymczasem pełnometrażowy debiut reżysera operuje przekazem metafizycznym, nasyconym kreacyjną inscenizacją.

Przy tym — rzecz ciekawa — element kreacyjny narasta w rytm psychicznej przemiany bohatera, nie tracąc nigdy realistycznej motywacji. Krauzemu udało się przekazać nieznaną, ale nieuchronnie przechodzenie świata rzeczywistego w kosmos. Sekwencje snów i złudzeń dają bardzo rzadko przeżywane w kinie poczucie utraty spójności otaczającej bohatera rzeczywistości. W tych scenach — jak u Kafki — realność zaczyna pękać i szczykami ziele metafizyczna kropla. Natomiast szkoda nieco końcowej psychodramy przeciwstawienia i manieryzacji, gdzie obłąd człowieka panomim miał kulminować, a pozostało wrażenie stylizowanej etudy. „Palec boży“ jest dziełem w pełni dojrzałej osobowości o oryginalnym talencie. Pyta o sprawy trudne, ale najbliższe każdemu myśliciemu człowiekowi. Zastanawiając się nad celem życia i możliwościami jego spełnienia, nie rożądaje recept, lecz stwarza godną uwagi okazję do odpowiedzialnej dyskusji.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

GINĄCY ZAWÓD

Spotkanie ich w określonych godzinach we wszystkich najświetniejszych galeriach malarskich i muzeach. W paryskim Luwrze i maderickim Prado, w muzeach Rzymu, w monachijskiej pinakotece i w pałacu Pitti we Florencji, wszędzie tam gdzie słynne obrazy starych mistrzów pędzą zwabiają turystów.

Kopiuja obrazy. Ziją z tego sprzedając owe kopie. Są zawodowcami choć ich zawód jest już niemal na wymarcu. Nazwijmy ich z francuska kopistami (les copistes) choć w języku polskim „kopista“ oznacza właściwie tylko sporządzającego kopie tekstów.

Ostatnio o kopistach obrazów w Luwrze interesujące informacje przyniósł paryski tygodnik „Nouvel Paris-Match“.

— Zie czas przeżywa nasz zawód — powiedział ze smutkiem jeden z kopistów.

Wpływa na to wiele przyczyn. Obecnie publiczność coraz mniej interesuje się starym malarstwem. Owszem, turyści bardzo chętnie oglądają dzieła słynnych mistrzów, ale kto kupuje

ich kopie? Czy w nowoczesnych mieszkaniach jest miejsce na kopie wielkich płócien? Kto w dzisiejszych mieszkaniach w blokach będzie wieszal na ścianie „Tratwę Meduzy“ Gercaulta czy „Glocondę“ Leonarda da Vinci? Takie kopie zawieszano w wielkich salach pałaców, zamków, w willach bogatych mieszczan czy ziemian. Pośród szacownych, antycznych mebli mogły pasować do otoczenia. Dziś już nie bardzo jest popyt na tego rodzaju obrazy. A wreszcie postęp techniki sprawił, że można masowo produkować kopie słynnych obrazów, a owe masowo sporządzane reprodukcje z wielką nieraz precyzją i wiernością oddają barwy, a nawet fakturę oryginału.

— Czy możemy walczyć prze-

Książka spod lady

W witrzynach księgarskich ukazało się kilka nowych pozycji Wydawnictwa Literackiego w Krakowie, które obchodzi właśnie jubileusz 20-lecia swojego istnienia. Dobrze obrazują one szeroki profil tematyczny i wielostronność zainteresowań tej ambitnej placówki, o której jej dyrektor, Andrzej Kurz, powiedział niedawno, że pragnie być drugim PIW, choć z własnym, odrębnym obliczeniem, tzn. z przewagą literatury polskiej, a nie obcej.

Wydawnictwo, mające siedzibę w podwawelskim grodzie, musi na poczesnym, honorowym miejscu hotubić dział pracodawców. Stąd „Wypieszczona“ edytorsko, albumowa publikacja „Boy o Krakowie“, na którą składają się przedrukowane w całości szkice Tadeusza Boya-Zeleńskiego o „Znasz-li ten kraj“ oraz wybrane z innych zbiorów tego autora felietony i eseje dotyczące dawnego Krakowa, jego obyczajowości i życia artystycznego.

W dziale, konsekwentnie rozbudowywanym, literatury historyczno-pamiętnikarskiej Wydawnictwo daje wprawdzie prymat dawnej Galicji, ale podkreślając swój ogólnopolski charakter nie ogranicza się do spraw regionalnych. Dowodem — kronika okupacyjnych losów Warszawy spisana przez włoskiego dziennikarza, Alceo Valentiniego, wielkiego przyjaciela Polski, który w latach poprzedzających klęskę wrześniową przebywał w naszej stolicy jako korespondent mediolańskiej „Corriere della Sera“ i pozostał tu do zakończenia wojny. Książka, zatytułowana „Golgota Warszawy“, opisuje wagę i bohaterstwo Polaków, zawiera również relację z Powstania Warszawskiego.

Wydawnictwo Literackie, intensywnie rozwijając swój warsztat w dziedzinie przekładów z języka hiszpańskiego i portugalskiego, obrabia jako główny kierunek działania penetrację literatury iberoamerykańskiej, której pozycja i rola kulturotwórcza nie były dotąd u nas w pełni doceniane. Tu udana specjalizacja daje owoce w postaci niewielkich, zgrabnie wydawanych tomików, prezentujących najwybitniejsze dokonania literackie krajów Ameryki Łacińskiej. Ostatnio wydana książka w tej serii to uznana za bestseller powieść wybitnego pisarza urugwajskiego, Mario Benedictiego, pt. „Dziękuję za oświecenie“, napisana w formie monologu wewnętrznego.

Mocną stroną krakowskiej oficyny stanowi eselastyka. Reprezentuje ją zbiór szkiców Jana Dąbrowskiego „Z Angliami na co dzień“, powstałych w czasie pobytu autora podczas wojny w Anglii. Obyczajowość Anglików, ich pozorne dąwactwa, życie klubowe i intelektualne, organizacje kościelne to — obok szczegółów wnikliwie tu przedstawionych powiązań kulturalnych i historycznych między Polską a Wielką Brytanią — najważniejsze sprawy, o których mówi książka. Nie samym jednak esejem żyje czytelnik. Pamięta o tym Wydawnictwo Literackie, które pragnie nie tylko przyswajać polskiemu odbiorcy literackiemu „nowinki“, ale także dawać strawę masowemu społeczeństwu lektur. W tej „intencji uruchomiło też przekładową serię „chodliwej“ powieści historycznej, serie popularnych esejów. Wszystkimi, którzy lubią grube tomy lektur, zalecam zabranie do walki uropowej 2-tomowej książki XIX-wiecznego powieściopisacza angielskiego Ch. Reade'a, „Klasztor i miłość“. Główny wątek tego romansu przygodowo-historycznego stanowią burzliwe dzieła miłości rodziców, wielkie humanistyczne Erazma z Rotterdamu. Wbrew pozorom książka mała wszelkie cechy walczywej lektury jest „Eliza Orzeszkowa“ Edmunda Jankowskiego, wydana w serii „Ludzie Żywi“ Państwowego Instytutu Wydawniczego. Wszystkich, którzy nie zetknęli się dotąd z tą książką, zachęcamy do wzięcia w rekę jej trzeciego, poprawionego i uściłonego, wydania. Autor ze wspomnień i dokumentów, z Listów (a była Orzeszkowa wielką miarą epistolografem), z zebrałych po części kartei i szerniowych portretów stara się wydobyc sylwetkę pisarki żywej, oddając ją jak najczęściej głos jej samej.

Interesujący temat powieściowy stanowi życie i osobowość Roberta Schumana, wybitnego kompozytora niemieckiego z epoki romantyzmu. Autor wydanym w serii „Ludzie Żywi“ monografią o Schumannie, Henryk Swolkiem, wydobyl te wszystkie ciekawe momenty z życia kompozytora, ukazując przy tym skomplikowaną osobowość twórcy, doznawanego w ostatnich latach życia chorobą psychiczną, która doprowadziła go do samobójstwa.

JAN OKOPIEN

KOPCIUSZEK W WYDAWNICTWIE ŁÓDZKIM

Sztuka, a w tym niewątpliwie i literatura świadomie i z pełnym poczuciem odpowiedzialności tworzona dla dziecka, zdaje się nierzadko porzucić stroj Kopciuszka, jawie w całym biasku piękna, sławac uznawana, i Biennale Sztuki, dla Dziecka — wydarzenie ogromnej rangi i o zasięgu międzynarodowym przypominało — słowa Maksyma Gorkiego: „Dla dzieci trzeba pisać tak jak dla dorosłych, tylko o wiele lepiej“.

Śmiały trud przedstawicieli pi-sarskawa dla Odbiorcy Najważniejszego podjęło także Wydawnictwo Łódzkie. Produkcja literatury omawianego typu nie jest jeszcze zamknięta, ponieważ — warto pamiętać — pierwsze książki dla dzieci i młodzieży otrzymaliśmy w 1938 roku, natomiast ostatnie, ujęte jeszcze planem, ukazały się w roku 1974.

W Wydawnictwie Łódzkim znalazł gościnnie zarówno pisarze znani, współpracujący już przedtem z innymi placówkami: Adam Bahdaj, Zbigniew Nienacki, Edmund Nizurki, Aleksander Rymski, Igor Sikirycki, jak i nowi, zdobywający dopiero „wizytówkę“ i czytelników. Wy-dobychano nazwisk nowych, debiuty — to sprawa niewątpliwie sama przez się bardzo ciekawa i cenna.

Jednakże produkcja literacka, dostarczona w omawianym okresie najmłodszym i nastoletnim czytelnikom wydaje się raczej mało urozmaicona. Sierobowano przy tym głównie odbiorców nieco starszych, dając im przede wszystkim powieści typu przygodowego. Nie jest to złe, zważywszy, że lektura w tym poziomie jest zarówno pozostawiana, jak i potrzebna. Ale czy tylko taka? Przypomnijmy niektóre pozycje: „Plan na Złotej Puszczy“, „Uroczysko“, „Niesamowity dwór“, „W służbie Złotego Lwa“, „Awantura w Niekłaju“, „Czuwajka w letnie noce“, „Szpaki z Muranowa“, „Tajemnica podziemnego lochu“. Problematyka okupacyjna wypada nieco skromnie — „Mali bohaterowie“, „Niebezpieczna tajemnica“, „Na niby i naprawdę“, „Order z księżycem“, „Śledztwo nieobecnych“. Na tym też od-bijają swa „inności“ — „Tajemnica Joliby“, „Indiadek Spryszczeni Czarna Wydry“, „Baszta przy Przygodzie króla Guca i króla Macłusa“ oraz „Dole i niedole diabła Boruty“; nowe akcenty wnoszą książki Edwarda Kopczyńskiego, specjalizującego się w powieści myślowej.

Malutkich — szczerze obdarzył niezawodny jak zwykle w swym kunszcie poetyckim Igor Sikirycki (specjalne słowa podziękowań za słowne kolorowe, pięknie zdobione przez Romana Prokulewicza „Bałki na dobranoc“). A obok tego urokliwe wierszyki Aleksandra Rymskiego „Gadanie baranie“, otrzymamy jeszcze jedno pióra „Zimowa sikoreczka“, na co należy się cieszyć. I wreszcie tomiki Afanasjewów, Jana Huszczy,

JOLANTA KOWALCZYKÓWNA

ciwko naszej epoce, przeciw panoszeniu się plastyki i imitacji? — pyta smętnie jedna z kopistek, Christie Milo. Ale ona sama mimo wszystko nie rezygnuje z uprawiania ginącego zawodu. Przyszyczała się do niego, kocha go. Ciągłe ma nadzieję, zwłaszcza w sezonach turystycznych, na jakies większe zamówienie. Inny kopista przesiedlający w Luwrze to siedemdziesięciosiedmioletni Antonio Bin, z pochodzenia Wenecjanin. Jest specjalistą od malowania „Glocondy“. Sprzedaje dużo. Jego kopia portretu Mony Lisy osiąga cenę do 4 tysięcy franków. Nie jest to jednak cena zbyt wygórowana. Ceny kopii wahają się od 3 do 8, a nawet 10 tysięcy franków w zależności od wielkości obrazu, precyzji wykonania i renowy kopisty. Antonio Bin wyspecjalizowany w kopiowaniu „Glocondy“, a kopiował ją już ponad dwadzieścia razy, pełni swój zawód od 66 lat, kiedy to po raz pierwszy odwiedził Luwr mając lat jedenaście. Od tamtego czasu już sześć tysięcy jego kolegów po fachu kopiowało słynne dzieło wielkiego Leonarda. Ale żaden z nich nie dorównał mistrzostwu wykonania jakie prezentuje Antonio. Toteż jego nazwisko i adres podawane jest z ust do ust wśród ludzi, którzy chcą mieć najpi-szą kopie „Glocondy“. Nie przekłada mu bynajmniej, że obraz Mony Lisy dla bezpieczeństwa odgrodzony jest od bezpo-średniego zetknięcia z widza-

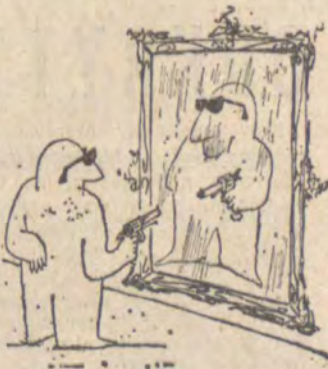
mi i przesłonięty ponadto szybą. Szkło sprawia, że na obrazie grają refleksy świetlne, co oczywiście utrudnia spostrzeżenie wszystkich szczegółów i właściwej barwy dzieła. Ktoś, kto od tak wielu lat ma obraz nie musi się węd już zbyt wnikliwie wpatrywać.

Kto może zostać kopistą? Czy każdy komu przyjdzie na to ochota może zabrać ze sobą sztalugi do Luwru, rozsiąść się przed wybranym przez siebie obrazem i kopiować? Otóż nie. Trzeba uzyskać na to pozwolenie dyrektora Luwru, a czy się takie pozwolenie posiada może sprawdzić każdy spośród dwustupięćdziesięciu strażników muzeum. Aby otrzymać pozwolenie dyrektora trzeba przedłożyć wiele zaświadczeń i dokumentów. A więc trzeba się wykazać czymś w rodzaju świadectwa niekaralności, złożyć dwie fotografie, okazać się do-wodem osobistym, dołączyć do podania zaświadczenie o aktualnym miejscu pobytu i co ważne, załączyć list polecający od jakiegoś znanego malarza lub jakiegoś wybitnego krytyka sztuki albo od dyrektora jednej ze szkół artystycznych. W ciągu czterech do sześciu dni przychodzi odpowiedź dyrektora Luwru. Jeśli odpowiedź jest odmowna jest ona odmowna raz na zawsze. Ale nawet kiedy się uzyskało już pozwolenie nie oznacza to jeszcze, że natychmiast można

przystąpić do kopiowania tego lub innego wybranego przez siebie arcydzieła. Istnieje bowiem przepis, że przed jednym dziełem sztuki może pracować tylko jeden kopista. Jeżeli jest wielu amatorów na kopiowanie jakiegos obrazu zapisywać się oni muszą na listę i czekać w kolejce.

Obecnie pracuje w Luwrze około 30 kopistów. Maksymalna ilość w tym muzeum nie może przekraczać naraz 70. I jeszcze jeden bardzo ważny szczegół — kopia nie może być co do wielkości identyczna z oryginałem. Musi być o kilka centymetrów większa lub mniejsza. Ma to rzekomo zapobiegać sprzedawaniu kopii jako oryginału, szybkiemu odróżnieniu dzieła od fałszyfkatu. Nasuwa się w związku z tym pytanie czy fałszerze obrazów nie rekrutują się spośród kopistów? Otóż jak wykazuje praktyka, fałszerze nigdy nie kopują w muzeum. Do sporządzania swych fałszyfkatów używają zwyczajny dobrych reprodukcji pocztówkowych i rzekome oryginały wykonują poza salami muzealnymi.

Prócz zawodowych kopistów w Luwrze spotkać można nieraz kopiujących artystów-malarzy, którzy w ten sposób studiują swych ulubionych mistrzów. Bywa, że jakiś, uprawiający nowoczesne malarstwo artysta, rano kopiuje stare obrazy, a po południu uprawia



swą własną oryginalną twórczość.

Kopieci to ginący już zawód. Technika nieraz doskonałych reprodukcji słynnych obrazów wypiera stale i systematycznie kopistów, ale oni wierzą jak to powiedział jeden z nich, że „nie i nigdy nie zastąpi prawdziwego malarstwa olejnego“. Choćby to były tylko kopie.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

JESTEM DŁUŻNIKIEM?

Ostatnio dwóch panów próbowało mi uświadomić, że jestem dłużnikiem komitetu blokowego przy ul. Nawrot w Łodzi oraz rodziny państwa Kydryńskich. A jak to było — opowiem...

Po felietonie o Festiwalu O-polskim, w którym to tekście użyłem zwrotu, że występ Haliny Kunickiej był „żałosny” — zadzwonił do mnie pewien pan.

— Jestem szwagrem pani Kunickiej i kuzynem pana Waldorffa — powiedział poirytowanym tonem. „Muszę panu złożyć wizytę, aby pogadać z panem o tym, jaką pan ma twarz psuć gazetę swoimi bredniami...”

Oczywiście nie miałem ochoty się spotykać. Nie dlatego, żebym nie miał twarzy, ale po prostu dlatego, że nie widzę możliwości znalezienia współ-

nego języka z kimś, kto uważa, że ma prawo przyjąć do redakcji i obrzucić obelgami dziennikarza. Zapropnowałem natomiast „szwagrowi Kunickiej”, żeby te wszystkie rodzinne pretensje wyłożył w liście i na pewno tekst opublikujemy. Szwagier się nie zgodził.

Uważał widać, że dziennikarz ma obowiązek słuchania uragań dotkniętych, że jestem dłużnikiem tych, którzy mają inne zdanie niż ja. Oczywiście nie mam monopolu, na jedynie słuszne racje (bo nikt tego monopolu nie ma) — ale mam zawód, który polega m.in. na wyrażaniu swoich opinii. Wyrażam te opinie publicznie i wysłuchuję publicznych pretensji — nie wyzisk w czterech ścianach pokoju. Lub anonimowych pogróżek przez telefon. Czytelnicy „Od-

głosów” wleczą dobrze, że wszystkie najbardziej nawet ostre kontr-opinie, publikujemy na naszych łamach w rubryce „Listy do redakcji”. Jeśli „Kuzyn Waldorffa” nie zechciał przyjąć tej obowiązującej w świecie ludzi kulturalnych formy — widać jego pokrewieństwo ze znakomitym i bardzo ostrym publicystą jest albo bardzo dalekie, albo — co najprawdopodobniejsze — żadne.

Tyle byłoby o jednym moim wierzycielu.

Drugi wierzyciel jest zbiorowy. Nosi nazwę komitetu blokowego przy ul. Nawrot (numery nie pamiętam).

Oto przed paroma dniami zadzwonił telefon. Stanowczy głos oświadczył, żebym się po-fatygował na zebranie lokatorów domu takiego a takiego przy ul. Nawrot. Spytałem — po co i dlaczego.

„Przed rokiem — zakomunikował mi stanowczy głos — napisał pan felieton, po którym wszyscy społecznicy działający w komisji zniechęcili się do pracy. Niech pan teraz przyjdzie i odkryci. Jak pan zepsuł — niech pan teraz naradzi...”

Zatkało mnie. W ciągu roku napisałem ok 200 tekstów — nie jestem komputerem, nie mogę pamiętać o co chodziło, jaka była sprawa, jakie źródło informacji i jakie reakcje... Poza tym nie mam sekretarki ani archiwum, żeby te wszystkie papiery trzymał przez rok. Na pytanie czemu

nie napisano do redakcji wcześniej otrzymałem odpowiedź wymijającą.

Straciłem pół dnia na odszukanie w roczniku inkryminowanego felietonu. Szło w nim o to, że jakiejś renciście komitet blokowy zabronił wychodzić do ogródka z kotem, ponieważ kot niszczy pracę społeczną czyli kwiatki. Zadałem wówczas retoryczne pytanie, kto tu w tej sprawie ma kota...

Z tego więc powodu jestem dłużnikiem komitetu blokowego przy ul. Nawrot w Łodzi. Jestem dłużnikiem niewypłaconym ponieważ nie pójść reaktywować społecznej działalności przy ul. Nawrot. Nie jest to moim zadaniem, choć są miejsca, gdzie panują inne w tej mierze przekonania.

„W maglu obraz hierarchii społecznej nie jest pochodną wiedzy o funkcjonalnej potrzebie podziału zadań w nowoczesnym społeczeństwie, ale gradacja niepojętych wspaniałości i upośledzeń” — napisał Jerzy Urban Z tego właśnie magla rodem są przekonania obu panów, którzy byli łaskawi poprosić mnie „na osobność”.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY



LEWYM OKIEM!

DORSZ Z SZAMPANEM

Przed paroma tygodniami jadąc wcześniej rano tramwajem spotkałem grupę młodzieńców ubranych w pięknie zaprasowane garnitury, w wieczorowe koszule z krawatami, ze spinkami, w mankietach, w wypytanych do połysku modnych bucikach. Byli to przyjeźdźcy, delikatni młodzi ludzie, a z ich rozmów zorientowałem się szybko, że jadą na Politechnikę na egzamin wstępne.

Byłem też niedawno w U-

rzędzie Stanu Cywilnego Łódź — Śródmieście, czyli w tak zwanym Pałacu Słubów. Młodzieńcy w tym pałacu czekają swej kolejki na schodach albo na stojaku w gestym tłumie w środku, gdzie też w półmroku ustawiają się długie ogony, aby podpisać się na pamiątkę i złożyć życzenia tym, którzy już wymienili obrączki. W okresach szczytu łok tam taki, że nikt nie wie z kim się całuje, kto jest kto,

gdzie mama zięcia, gdzie tata synowej, kto jest czym bratem i siostrą. Młodzi się jakoś jeszcze nie mylą, zresztą ona jego prezornie przytrzymuje za rękę i nie spuszcza z oka Najciekawsze jednak w tym wszystkim są stroje kandydatów do stanu małżeńskiego. Cóż za rozmaitość! I długie szaty z welonami, i wyzywająco krótkie mini, i kolorowe piżamy Panowie — a właściciele chłopcy, bo taki zachowują styl — w kolorowych koszulach, papuzich krawatach, bez krawatów, w czerwonych skarpetkach i złotoniebieskich butach. Co za różnica w porównaniu z tamtymi, jadącymi na egzamin! Od razu widać, że małżeństwo to pakiem blabe gustostwo wobec dostania się na studia; tam są sprawy poważne, tam się celebrytuje, przywiązuje wagę, przeżywa, przysposabia, tu — tu jest śmiesznie, draczinie, zabawnie, tu nie ma się czym przejmować. Zobaczy się jak będzie dalej, a zresztą

niech starzy pomyślą o mieszkaniu, meblach, utrzymaniu i potrzebnej atmosferze.

Coraz częściej przecież zjawiskiem są żeniactwa chłopców, którzy w życiu jeszcze nie zarobili grosza, którzy nawet nie wiedzą, jak się kiedyś do tego zabrać, co będą robić, czym zostaną, od czego zaczną. Rodzice fundują takiemu chłopcy zoną jak jeszcze dziecko należy. Mówię o chłopcach, bo dziewczęta jednak z natury rzeczy poważniej podchodzą do sprawy. Dla nich — dla tych mądrzejszych, stanowiących na pewno większość — małżeństwo kojarzy się ze stabilnym domem, rodziną, przystanią, nie mówiąc o tym, że dwudziestodwuletnia dziewczyna jest o pięć lat doroślejsza od swego rówieśnika.

Wracajmy jednak do stylu ubierania się na różne okazje: czy nie obserwuje się tendencji do całkowitego nieliczenia się z żadnymi „okazjami”? Nasze panie (teraz już mówimy o dorosłych i bardzo dorosłych) stroją się przecież na co dzień, do pracy — tak, jak gdzie indziej na dużą galę. Znajome Paryżanki nie mogły się nadszwić, ile pań rano biega po Warszawie w lakierkach i złotych, balowych pantofelkach. Czeszki nie wieszają na sobie swojej słynnej biżuterii idąc do biura. Na odwrót — w drogim i pozującym na wytworność, orbisowym hotelu spotykamy w upalny dzień przy obiedzie, w drogiej restauracji, panie w toaletach idealnie plażowych, w szortach, w stanikach zamiast bluzek, za to oczywiście w ogromnych słonecznych

okularach. Niemcy z NRF i Włosi — znający lepsze upały od naszych — oglądają się za plażowniczkami z uśmiechem i wymieniają uwagi — wiadomo jakie. Panie są szczęśliwe i obsuwają staniki jeszcze o milimetr. Wieczór nie różni się co do ubiorów od południa, miejsce pracy od dancingu, plaża — od koncertu w Filharmonii. Wielka szkoda, tracimy jakoś smak i gust, tracimy przyjemność różnicowania, wzbogacania naszych wrażeń i przeżyć. Pijemy wodę z piwem, zagryzamy schaboszczaka melba, zapijamy dorsza szampanem. Widocznie i w tych sprawach czegoś jeszcze trzeba by się nauczyć.

ĆWIEK

PRZECIEŁOŚĆ

PIOTR ŚCIEGIENNY NA NOWO ODKRYTY

Nawet pobieżny obserwator piśmiennictwa historycznego dostrzeże z łatwością, że w badaniach nad ks. Piotrem Sciegiennym i kierowanym przez niego Związkiem Chłopskim od dłuższego już czasu wystąpiły objawy zastojów. Wynikało to nie z braku zainteresowania problematyką, ale z przyczyn bardziej prozaicznych, a mianowicie z trudności odnalezienia nowych źródeł, takich, które by wniosły rzeczywiste coś nowego do dotychczasowej wiedzy, trudności tym dotkliwszej, wobec bezpowrotnej straty znacznej części naszych zasobów archiwalnych w latach wojny. Dlatego też publikacje o P. Sciegiennym, jakie się ostatnio ukazywały, miały bądź to charakter drobnych przyczynków, bądź stanowiły ogólniejsze podsumowania i reinterpretacje, niewiele wykraczające poza to, co było już na ogół wiadomo. Radykalna zmiana sytuacji trudna była do przypuszczenia, a jednak nastąpiła: w

1968 r. znany radziecki badacz polskich i rosyjskich ruchów społeczno-politycznych Włodzimierz A. Djakow, ogłosił drukiem wiadomość o odnalezieniu przez siebie w Centralnym Państwowym Archiwum Historyczno-Woj-skowym w Moskwie kompletnego zespółu akt sprawy P. Sciegiennego i jego towarzyszy.

Odnaleziony tekst jest jednak pełniejszy, a jeden z jego przekazów, najważniejszy, okazuje się być autografem P. Sciegiennego.

Trudno przecenić znaczenie nowo odkrytych źródeł dla badań nad polskimi ruchami społecznymi w drugiej ćwierci XIX w. Prof. W. Djakow, zdając sobie z tego w pełni sprawę, postanowił jak najszybciej udostępnić je badaczom polskim. Napisał obszerną monografię, w której wstępnie wykorzystał odnalezione materiały i przygotował do druku co istotniejsze źródła: wszystkie sześć „książeczek”, zachowane fragmenty korespondencji P. Sciegienna-

go, protokoły jego przesłuchań w Kielcach i Warszawie, zeznania przed sądem wojennym w Warszawie oraz inne, drobniejsze teksty. Całość zaoferował Państwowemu Wydawnictwu Naukowemu, które powierzyło przekład i prace komentatorskie znanemu historykowi młodszej generacji Jerzemu Skowronkowi, zaś o skróceniu przedmowy do całości zwróciło się do najznakomitszego dzisiaj znawcy naszych dziejów w XIX w., Stefana Kieniewicza. W rezultacie otrzymaliśmy do rak nadzwyczajną cenną książkę: W. Djakow — „Piotr Sciegienny i jego spuścizna” (PWN, Warszawa 1972), która cenić nam wypada tym bardziej, że wybitny radziecki uczyony opracował ją z myślą o nas i dla nas: dzieło to, jak dotychczas, nie ukazało się w języku rosyjskim.

Dotychczasowa nauka historyczna nie dysponowała żadnymi doładniejszymi informacjami o liczebności, składzie i charakterze, wręcz zadaniach i działalności organizacji, na dzieło której stał się ksiądz Sciegienny. „Obecnie — pisze W. Djakow — wiemy o tych sprawach stosunkowo dużo, oczywiście nie wszystko, co chciałoby się wiedzieć, ale wystarczająco dużo, aby odważyć się na ogólne wnioski”.

W pierwszym rozdziale należy odnieść dawniejszy pogląd o braku związków między organizacją P. Sciegiennego a innymi współczesnymi „spiskami” na terenie Królestwa, jak i wcześniejszymi przejawami walki narodowo-wyzwoleńczej. Członkowie organizacji Sciegiennego liczyli pośród siebie i niedawnych uczestników powstania listopadowego, i osoby, których krewni byli już wcześniej represjonowani za pracę konspiracyjną. Organizacja utrzymywała ścisłą łączność ze „spiskami” w innych miastach, zwłaszcza w Warszawie, tak, że można ją

uważać wprost za ogólniejszą siatkę. „Według nas — powiada radziecki uczyony — organizacja Sciegienna, go powinna być rozpatrywana jako jedna z części składowych jednolitej siatki konspiracyjnej w Królestwie Polskim, różniąc się od innych jedynie radykalizmem społecznym — politycznym programem oraz rozległymi powiązaniami z chłopami i rzemieślnikami”. Nie była ona zbyt liczna, przy ewentualnym ujawnieniu pełnego składu — co jak wiadomo nie nastąpiło — mogłaby liczyć co najwyżej setki, nie tysiące ludzi. W gronie oskarżonych w sprawie P. Sciegiennego nieco mniej niż połowę stanowili chłopcy (45 osób), reszta zaś to ludzie zdeklasowani pochodzenia szlacheckiego (wylegitymowani i nie, łącznie 35 osób) oraz 11 mieszczan. W ten sposób w organizacji reprezentowane były dwie podstawowe grupy społeczne: chłopska oraz ta, która była jakby odpowiednikiem zachodnioeuropejskiego „stanu trzeciego”, różni oficjalnie, drobni urzędnicy, rzemieślnicy, dzierżawcy itd. Całość, jak podkreśla W. Djakow, „stanowiła jak gdyby model antyfeudalnego obozu, który jedynocześnie najbardziej aktywnej siły polskiego narodu, walczącego o swoją niepodległość”.

Dzięki nowo odkrytym źródłom w nowym świetle ukazuje się też sam plan zbrojnego wystąpienia, przygotowywanego przez uczestników konspiracji. Okazuje się, że nie był on wcale tak naiwny, jak niegdyś sądzono, chociaż nie był pozbawiony „słabych stron i poważnych braków”. „Stanowi on jednak — jak go ocenia W. Djakow — ważny i ciekawy efekt doświadczeń, nagromadzonych przez polskich rewolucjonistów”.

Równie, jeśli nie bardziej

nawet rewelacyjnie przedstawia się to, co można dziś powiedzieć o ideologii i programie wikarego z Wilkoluza. Spora wiązka kapitalnych tekstów — a zajmują one w druku ponad 150 stron — przesyłała o słuszności wiązania P. Sciegiennego z nurtem utopijnym — socjalistycznym i ukazywania go jako „zagorzałego zwolennika rewolucyjnego przeobrażenia panujących porządków na zasadzie wolności, równości i braterstwa”. Pod względem ideowym zbliżał się on do stanowiska E. Dembowskiego, nie argumentował jednak swych poglądów w sposób tak wszechstronny i naukowo dojrzały, jak to czynił ów myśliciel i rewolucjonista. Niepodległościowy charakter „spisku” i ideologii P. Sciegiennego nie może ulegać wątpliwości, ale — co kategorycznie stwierdza W. Djakow — wedle wikarego i jego zwolenników „wyzwolenie społeczne i walka o niepodległość narodu polskiego, to pojęcia nierozdzielnie ze sobą związane”, przy czym na pierwszym planie akcentowano dominującą rolę rewolucyjnych przemian społecznych.

Radziecki uczyony poświęcił wiele uwagi analizie czynników kształtowania się światopoglądu P. Sciegiennego. Zagadnieniem będą w przyszłości przedmiotem dalszych studiów, dziś można jednak wskazać na pewne dodatkowe elementy, które być może przyczyniłyby się do pełniejszego ich wyjaśnienia. Religijna interpretacja stosunków klasowych, przeprowadzona przez Sciegiennego, zrodziła w duchu dawnych ludowych herezji, zdaje się mieć bliższe związki z nurtem demokratycznego piśmiennictwa Wielkiej Emigracji, która można by nazwać chrześcijańsko-socjalistycznym czy chrześcijańsko-rewolucyjnym. Myślę tu nie tylko o nie wspomnianym w książce

L. Królikowskim, ale zwłaszcza o zapomnianym polskim historyzofie Władzie Orędzie. Przecież to właśnie on w 1840 roku wywodził z chrześcijaństwa — cel zjednoczenia wszystkich ludzi, jako dzieci jednego ojca, w braterstwie i równości, idealizował dawne czasy jako epokę panowania tych, uważanych przez chrześcijańskie ideały, głosił wiarę w to, że zrealizowanie idei wolności, równości i braterstwa, uwolnienie polskiego ludu, stanowi jedną skuteczną drogę do odzyskania niepodległości. Ten sam myśliciel z ducha katolicyzmu wywodził ni mniej, ni więcej, ale... Rewolucję Francuską! Zbieżność niektórych jego poglądów z koncepcjami P. Sciegiennego jest zastanawiająca, tym bardziej, że wikary z Wilkoluza dobrze znał i często sięgał po demokratyczne piśmiennictwo emigracyjne. Podobnych związków z zapomnianymi dziś myślicielami i publicystami emigracyjnej demokracji dałoby się wskazać więcej. Piękna, socjalistyczna utopia P. Sciegiennego, jego wyobrażenie idealnego ustroju i państwa, domagałoby się konfrontacji z analogicznymi ideami, głoszonymi przez innych ówczesnych myślicieli, by znów wspomnieć L. Królikowskiego, ale nie tylko jego.

W ten sposób omawianie dzieła W. Djakowa zaprowadziło nas do tego, co radziecki uczyony właśnie zamierzał spowodować, pisząc swą książkę: do merytorycznej dyskusji nad dziełem P. Sciegiennego. Impuls dla nowych poszukiwań i przemyśleń, jakiego dostarczył nam radziecki historyk, będzie niechybnie owocował przez długie lata w polskiej nauce historycznej.

LEKTOR